strofy goniące życie 6

diabły lubią bawić dzieci 10

miodobranie 11

omal nie oszalałem z rozpaczy 13

BIBLIOTEKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

39
(66)
KONTAKTY
4.X.1981
Cena 6 zł

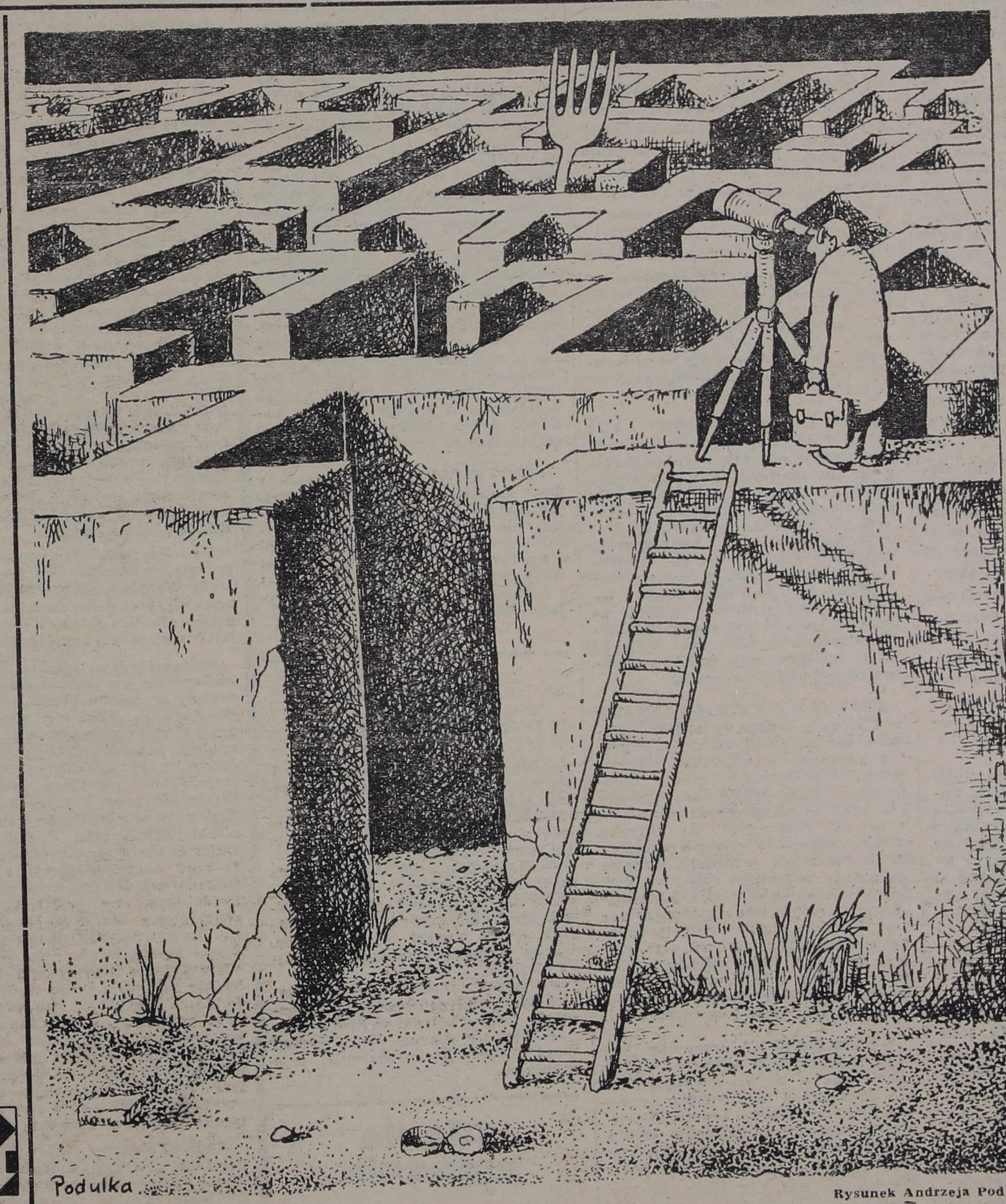

Rysunek Andrzeja Podulki

nie dajmy się biedzie

paragraf na byka

WŁADYSŁAW TOCKI

Po balladzie o „krwawym Maćku" i „czerwonym księciu wschodu", barwnych opisach buduarów Gierka i tajemnicach orientalnego „dziwexu", Sierpień obnażył również dosłownie świńskie rewelacje. Oto w spółdzielniach produkcyjnych, w pegeerach, koszt przyrostu jednego kilograma wieprzowiny minął 350, a nawet 600 złotych. Ba! W jednym z gospodarstw na południu kraju gładko przeskoczył 2 000! Świnia za dwieście tysięcy! Fiat za świnię! Publiczne schłostanie „uspołecznionego sektora" nie pozostało bez skutków. Przestraszony — opuścił gardę. Więc, w lipcu tego roku, przyłożono mu reformą.

☆

— Reforma? — dyrektorowi kombinatu „Wizna", mgr inż. Stanisławowi Kutyłowskiemu zdaje się tylko brakować tablicy i kredy. — Doprawdy szkolniackie działanie: s+s+s=z! Samodzielność, samorządność, samofinansowanie daje zysk. Jeśli go nie ma w ciągu trzech lat, poleci dyrekcja; po dwóch następnych zlicytuje się cały interes.

— Reforma? — nie daje się zaczepić spieszący ku maszynie traktorzysta i wskazuje ręką kierunek: „dyrekcja" — Niech główkują. Bo jak nie, to za trzy lata baach — kończy zgrabnym, ćwiczebnym kopniakiem, jakby przed czubkiem utytłanego w gnoju buta widział konkretny administracyjny tyłek.

— Reforma? — pobłażliwie kiwa głową osiemdziesięciotrzyletni Franciszek Domalewski z Kramkowa — Nie pytam nawet: jaka, po co, dla kogo? Za dużo ich przeżyłem. I jakoś nie mogę sobie przypomnieć z ostatnich lat choćby jednej, która cokolwiek dała. Może z powodu sklerozy?

Skleroza nie skleroza, a od 1 lipca pegeery rzeczywiście przypomnieć sobie muszą tajniki trudnej sztuki dodawania, sięgnąć po zakurzony słownik ekonomicznych pojęć.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

polski dylemat

dramat bliski tragedii

nadziele i zwątpienia

HENRYK GAŁA

Potrzebna by tu była liczba mnoga: dylematy polskie, nie dylemat. I to wcale nie na okoliczność naszej „nowej" odnowy, po prostu jest rzeczą niemożliwą wyłonić jedną, najgłówniejszą alternatywę istnienia naszego narodu w dobie współczesnej. Chyba że za najważniejszy problem uznamy fakt samego istnienia Polski. Sądzę jednak, że pomysł takiej generalizacji (a i uproszczenia zarazem) podsuwa pamięć o niedawnych, w skali historycznej, ostatecznych zagrożeniach dla kondycji narodowej wyrażanej słowami: być Polakiem.

Inną implikacją poszukiwania jednego dylematu polskiego jest konieczność rezygnacji z rozważania i uwzględnienia takich motywacji działań ludzkich lub sytuacji społecznych, które w swoim czasie tworzą sieć rozproszonych i mało ważnych faktów. Dla ilustracji: czy przed pięciu (powiedzmy) laty, można było, w sposób nie kłócący się ze zdrowym rozsądkiem, prognozować tak poważnie, ideowo silne i rozległe społecznie zakwestionowanie ustroju socjalistycznego w Polsce? Ideowe, polityczne, a nawet społeczne znaki tego były, ale dylemat owych lat był

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

SEJM ZATWIERDZIŁ bardzo ważne ustawy o samorządzie pracowniczym i przedsiębiorstwie. Premier Wojciech Jaruzelski, w przemówieniu sejmowym powiedział m.in.: „Rząd nie przyszedł na to posiedzenie z dobrą nowiną. Ale też bez fatalistycznych prognoz. Wszystko jest w rękach naszego narodu, klasy robotniczej. Na przekór wszelkim barierom i trudnościom są realne szanse wyjścia z kryzysu."

Z WYSTĄPIENIA STEFANA OLSZOWSKIEGO: „Biuro Polityczne nadal potwierdza gotowość i konieczność budowania przymierza wszystkich i porozumienia z każdym, kto nie jest przeciw socjalizmowi i komu droga jest sprawa ojczyzny i jej ratowania. Trzeba powiedzieć jasno: dziś bardziej niż kiedykolwiek musimy się porozumieć, odrzucić skrajności."

OPŁATY ABONAMENTOWE za używanie odbiorników radiowych i telewizyjnych od października będą regulowane kwartalnie. Ta jedna, prosta decyzja daje oszczędność zużycia papieru o 2/3, i podobnie — czasu pracowników i klientów, traconego na ten cel. Jednym pociągnięciem pióra zwiększono więc wydajność pracy na tym odcinku o 200 proc. Czekamy na naśladowców.

W EŁKU — epidemia czerwonki i biegunki. Prawdopodobnie mikroklimat miasta sprzyja zachorowaniom na czerwonkę, natomiast biegunka jest wynikiem złego stanu higieny i zaniedbanych urządzeń sanitarnych. Zachorowało już ponad 200 dzieci. Potraktujmy to jako poważne ostrzeżenie i — mimo trudności — szorujmy wanny, toalety, klozety i kąpmy ciała własne oraz dziecięce. Wracamy do starego porzekadła: zimna woda zdrowia doda. Nawet bez mydła.

PO I TURZE ZJAZDU NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" utrzymywała się napięta sytuacja." Posłanie do narodów Europy Wschodniej" wzbudziło kontrowersje w Polsce i protesty w krajach socjalistycznych. Biuro Polityczne PZPR wydało ostre oświadczenie, które wywołało falę rezolucji i deklaracji organizacji partyjnych i związkowych. W Łomżyńskiem dotychczas 22 organizacje partyjne uchwaliły takie dokumenty. Większość z nich popiera stanowisko Biura Politycznego, a we wszystkich przebija głęboka troska i niepokój o losy kraju. Fragmenty niektórych rezolucji:

„Zwracamy się do rządu PRL z apelem, by skutecznie spełniał swoje konstytucyjne uprawnienia na rzecz utrzymania ładu i porządku publicznego w ramach równego prawa dla wszystkich obywateli naszego kraju, w tym również członków NSZZ »Solidarność«" (POP PZPR w Prokuraturze Wojewódzkiej).

„Uważamy, że KC nada taki kierunek, który będzie bronił socjalizmu nie słowami, a konkretnym działaniem. Należy doprowadzić do spotkania przedstawicieli wszystkich sił społecznych w celu dokonania obiektywnej oceny sytuacji i określenia sposobu wyjścia z kryzysu, gdyż naród jest u kresu wytrzymałości. Jesteśmy za »Solidarnością«, której działalność przyczyni się dla dobra społeczeństwa polskiego." (POP Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Łomży)

„Członkowie partii i bezpartyjni Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego: „1. W żadnym wypadku nie powinno dojść do konfrontacji sił, należy dogadać się i wziąć do roboty; 2. jak najszybciej dążyć do utworzenia warunków do spokojnej pracy; 3. rząd powinien szybciej wydawać decyzje i stanowczo je egzekwować; 4. skończyć z bałaganem i anarchią; 5. zapoznać całe społeczeństwo o przyczynach obecnego kryzysu gospodarczego."

SZEWC PRZESTAŁ PIĆ jak szewc, co nie znaczy, że naprawi buty. Jeśli jeszcze nie rzucił swojego rzemiosła, to stoją one na półce zakurzonego warsztatu, bo nie ma gumy na podeszwy, kleju, skóry. Ten obrazek stał się typowym przykładem ubóstwa i nędzy wszystkich praktycznie rodzajów usług i drobnej wytwórczości, chociaż czynniki partyjno-rządowe wielokrotnie zapalały dla tej ważnej gałęzi gospodarki zielone światło. Gasło jeszcze szybciej niż ktokolwiek je zobaczył, bo za słowami, zawartymi w uchwałach nie szła realizacja tych postanowień. Miejmy nadzieję, że postanowienia wspólnego Plenum KW PZPR i WK SD, poświęcone ocenie i kierunkom rozwoju drobnej wytwórczości pozwolą uniknąć poprzednich błędów i wskrzeszą nadzieje setek rzemieślników na to, że otwierając zakład usługowy będzie można z niego wyżyć, ubrać się, utrzymać rodzinę.

Koncentrująca się wokół treści Uchwały 112 Rady Ministrów dyskusja zawierała wiele goryczy z lat ubiegłych, uwag, spostrzeżeń: MARIAN MIESZKOWSKI, prezes WK SD: — Nasz kraj to kocioł gotujący, w którym od czasu do czasu coś zabulgoce. Chodzi o to, aby gotowane w nim strawy były możliwe do spożycia przez każdego obywatela. W Polsce powinno być miejsce na działalność małych spółek państwowych, spółdzielczych i prywatnych. Są to trybiki naszego mechanizmu, jakże ważne i odczuwalne teraz, gdy brakuje wszystkiego; **MIECZYSŁAW GIERAŁTOWSKI:** — Nie wszystko można zmienić w życiu przepisami, choćby najmądrzejszymi. Ustawy po uchwaleniu zaczynają żyć... własnym życiem. Stanowią je ludzie, którzy wprowadzają je do praktyki. Chodzi tylko o to, by słuszne przepisy nie były wypaczane; **STANISŁAW GODLEWSKI:** — Kowal nie ma dziś nawet czym konia podkuć. Ani przydziału kawałka stali, ani kilograma węgla. Musi w palenisku palić śmieciami. I co tu snuć marzenia na przyszłość.

DRUGIE POSIEDZENIE VIII SESJI WRN w Łomży przyjęło m.in. następujące uchwały: w sprawie rozwoju budownictwa mieszkaniowego i towarzyszącego w latach 1981—85, podziału terenów wiejskich włączonych do miast na sołectwa, rozdysponowania nadwyżek budżetowych. Wojewodę zobowiązano do otoczenia szczególną opieką nauczycieli wiejskich i zapewnienia opieki lekarskiej. W posiedzeniu wzięło udział 64 spośród 110 radnych. Przypominamy, że na pierwszej, lipcowej sesji nie można było podjąć uchwały z powodu braku quorum.

PRAWIE WSZYSTKIE ZAKŁADY w Grajewie wykonały zadania produkcyjne za osiem miesięcy. Wyjątek stanowią Zakłady Płyt Wiórowych i Wytwórczo-Usługowa Spółdzielnia Pracy. Spółdzielnia nie mogła wykonać planu przede wszystkim z powodu braku płyt do wyrobu mebli. „Płytozbyt" w Bydgoszczy dzieli centralnie materiał kierując go przede wszystkim do wielkich fabryk mebli. Spółdzielnia, jak każdy „karzeł", zadowalała się tym, co zostawało. Gdy giganty zaczęły pożerać również drugi gatunek płyt, małym pozostały tylko odpady. Niewiele jednak z tego można produkować, mimo krzepiących uchwał o drobnym przemyśle i spółdzielczości.

WŁADZE KOLNA przenoszą pomysł redakcyjnych spotkań z cyklu „Bez pardonu" do wsi w swojej gminie. Pierwsze z nich odbyło się we wsi Truszki Patory i Truszki Kucze. Najbardziej dręczy rolników klęska urodzaju ziemniaków, słaby stan dróg dojazdowych na pola i handel wiejski.

JEDNYM Z TEMATÓW ostatniej narady przedstawicieli komisji zakładowych NSZZ „Solidarność" była sprawa represjonowania członków Związku. Aktualnie toczy się bowiem śledztwo dotyczące działalności trzech osób podejrzanych o rozpowszechnianie fałszywych informacji, na szkodę PRL. W uchwalonej rezolucji mówi się, że w razie aresztowania któregokolwiek, bez udowodnienia mu winy, Oddział zostanie postawiony w stan pogotowia strajkowego.

WIĘKSZOŚCIĄ ZALEDWIE TRZECH głosów upadła propozycja podjęcia akcji strajkowej przez nauczycieli. Zdecydowana część uczestników planarnego posiedzenia Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łomży poparła natomiast wniosek o wystosowanie do władz centralnych stanowczego protestu przeciwko opóźnianiu realizacji najważniejszych postulatów, a w szczególności wprowadzenia w życie nowej karty praw i obowiązków. Przyczyną rosnącego niezadowolenia nauczycieli jest również nikły stopień realizacji lokalnych postulatów — z 231 wykonano zaledwie 13, mniejszej wagi — oraz całkowite lekceważenie ich potrzeb socjalnych. Wierzyć się wprost nie chce, że władze wojewódzkie są bezsilne wobec własnej administracji.

W BEŁDZIE ukończono budowę fermy tuczu trzody chlewnej na 150 macior w cyklu zamkniętym, co powinno zagwarantować produkcję około 2 tysięcy tuczników rocznie.

RONGART to nazwa powstającego osiedla domków jednorodzinnych w Rajgrodzie. Osiedle jest usytuowane naprzeciw wyspy, na której wznoszono ongiś, nigdy nie ukończony, zamek Rongart. Podobny był zresztą los innych grodów pogranicza słowiańsko-jaćwieckiego. Gdy jedni budowali, przeciwnicy starali się jak najszybciej to zniszczyć. Mamy nadzieję, że to historyczne fatum nie zaciąży nad nowym osiedlem.

CIECHANOWIEC został wybrany przez miłośników Warszawy na miejsce ich XVI sesji poświęconej naturalnemu środowisku Warszawy. Organizatorami imprezy są: Towarzystwo Przyjaciół Warszawy, Wydział Kultury i Sztuki Miasta Stołecznego Warszawy i Towarzystwa Przyjaciół Historii.

pytania drażliwe

do Zdzisława Bartosiewicza ze Zjednoczonego Związku Emerytów, rencistów i inwalidów:

— W jaki sposób Związek pomaga swoim członkom w zaopatrywaniu się w opał na zimę?

— Zwróciliśmy się z prośbą do kierownika składu o honorowanie legitymacji związkowych. Oni jednak wcale nie przywiązują wagi do tego, czy to emeryt czy inwalida. Każdy więc staje spokojnie w kolejce i kupuje.

— Spokojnie? Zdarzały się przecież przypadki poważnego poturbowania starszych ludzi w kolejce...

— Niestety, ale nie mamy żadnej innej koncepcji rozwiązania tego problemu.

zdanie tygodnia

„Nie będę funkcjonował jako ozdoba stołu prezydialnego" (Aleksander Jankowski, sekretarz KW PZPR)

zdanie z atestem

„Narodowi i kobiecie nie wybacza się owej chwili nieopatrzności, kiedy lada awanturnik mógł na nich dopuścić się gwałtu" (Karol Marks).

Redagowanie „Zdarzeń":
DANUTA WRONISZEWSKA

KORESPONDENCJA WŁASNA Z GDAŃSKA

dyrektor z łapanki

— Nie złamaliśmy kręgosłupa nomenklaturze, a tylko go skrzywiliśmy.

Ten wyimek z wypowiedzi Mikołaja Kiecki (Pomorze Zachodnie) obrazuje jeden z głównych nurtów dyskusji, jaka rozwinęła się pierwszego dnia II tury Zjazdu „Solidarności" i toczyła się przez cały następny dzień. Kijem w mrowisku stał się referat sekretarza KKP, Andrzeja Celińskiego, motywujący kompromisową decyzję prezydium KKP, podjętą 22 września br. w sprawie samorządu pracowniczego. Trzy osoby, Mieczysław Gil, Stanisław Wądołowski i Lech Wałęsa, zgodziły się na zapis w tej ustawie, który wybór i odwołanie dyrekotra powierza organizacji założycielskiej lub radzie pracowniczej. Jan Rulewski złożył wobec niej votum separatum. Zdaniem większości mówców — prezydium złamało uchwałę Zjazdu podjętą w I turze obrad. Miarą wzburzenia jest lista osób zapisanych do głosu — 49.

Pierwszego dnia tylko trzy osoby wypowiedziały się w tej materii, w tym Mieczysław Gil, uczestniczący w rozmowach z Komisją Sejmową ds. Samorządu Pracowniczego. Z jego relacji wynikało, że Sejm przyjął zapis kompromisowy, odrzucił zaś projekt rządowy. Również ten moment, bezprecedensowy w historii powojennego parlamentu polskiego, podkreślił Andrzej Celiński. Delegaci, chcąc rzetelnie ocenić możliwości i intencje owej „czwórki", domagali się przedstawienia pełnej treści ustawy sejmowej oraz protokółu z posiedzenia prezydium. Posmak afery miały tłumaczenia organizatorów, że zapis tego posiedzenia zaginął. Odnalazł się następnego dnia rano w formie okrojonego protokółu. Wynikało z niego, że podejmujący decyzję zdają sobie sprawę, iż postępują dokładnie tak samo, czyli niedemokratycznie, jak przy zawieraniu porozumień warszawskich (nie zwołano wówczas KKP). Wałęsa rzekł na tym posiedzeniu, że po tym, co uchwalili, wejdą na salę obrad tyłem. Pocieszył się, że narzucanie dyrektorów nic nie da, gdyż samorządy tak uprzykrzą im życie, że trzeba będzie ich brać z łapanki.

Po odczytaniu tego protokółu rozpoczęła się chłosta. Pod pręgierz poszedł Wałęsa i eksperci: Jacek Kuroń i Krzysztof Jakubowicz. Wszyscy z mówców zdawali sobie sprawę, że KKP weszła w kompetencje Zjazdu.

Delegaci zdawali sobie jednocześnie sprawę, że próba odkręcenia tej ustawy wypadnie propagandowo źle dla Związku. („Znów wichrzą!"). Andrzej Gwiazda zwrócił uwagę, że prezydium popełniło fatalny błąd polityczny, gdyż jego uchwała nie daje możliwości manewru związkowi. Wiąże mu ręce. Z kolei Karol Modzelewski stwierdził, że ustawa jest niezła. Należy teraz skupić się na walce o liczbę przedsiębiorstw, które rząd zechce wyłączyć z ustawy. Ostrzegł też delegatów, że partia dąży do tego, aby konflikt między związkiem a administracją przesunął się do wewnątrz Związku i spowodował jego rozbicie. Sam Wałęsa w ekspresyjnym wystąpieniu poprosił, by nie robiono z niego durnia. Skoro Zjazd wyznaczył mu ekspertów, więc oparł się na ich zdaniu. Ustawę uważa za zwycięstwo Związku. Od tego momentu nastąpił zwrot w dyskusji. Obstając twardo przy krytyce niedemokratycznych praktyk prezydium KKP — trzeźwo i realistycznie oceniano samą ustawę.

Andrzej Celiński, którego najbardziej targano za uszy, bronił zaciekle takiej metody postępowania władz Związku, mówiąc, że sprawa samorządu mieściła się w scenariuszu konfrontacyjnym rządu. Do ostatniego momentu naciskano na posłów, aby przyjęli projekt rządowy. Puentą tego jest stwierdzenie Jerzego Dynara z „Mazowsza", że samorząd to sprawa ekonomii, a nie polityki.

Z całodziennej dyskusji wyniosłem wrażenie, jakbym oglądał stado kur, któremu nagle rzucono ziarna. Kury zbiegły się i zapamiętale je dziobały, nie zdając sobie sprawy, kto ziarno rzucił i dlaczego. Samorząd pracowniczy, będąc wstępem do postawienia na nogi zrujnowanej gospodarki, stał się elementem rozgrywki politycznej.

ADAM JERZY SOCHA

zdarzenia

Janek Krasicki o Miłoszu i „żagarystach"

W 1935 roku 16-letni Janek Krasicki (przewodniczący Związku Walki Młodych w okupowanej Warszawie) był uczniem VI klasy Gimnazjum Państwowego im. Józefa Piłsudskiego w Święcianach na Wileńszczyźnie. Dyrektorem szkoły został wtedy Stanisław Antoszczuk — lewicowiec i działacz związkowy, animator życia kulturalnego, oświatowego w Święcianach. We wrześniu 1935 roku podjął pracę w gimnazjum nowy polonista, Edmund Rodziewicz — absolwent Uniwersytetu Wileńskiego.

Rodziewicz, gorący zwolennik odważnych posunięć Henryka Dembińskiego, zorientował się, że w prowincjonalnych Święcianach również istnieje podatny grunt do ożywienia działalności wśród młodzieży. Z grupy najbardziej wartościowej, rozbudzonej intelektualnie młodzieży utworzył Koło Literackie, którego przewodnictwo powierzył Jankowi Krasickiemu. Stąd płynęły inicjatywy wszelkich poczynań mających związek z literaturą i kulturą.

System zamkniętych zebrań i referatów porzucono na rzecz działalności wśród całej młodzieży gimnazjalnej. W listopadzie 1935 r. ukazał się drukiem szkolny dwumiesięcznik pt. „Piszemy" w nakładzie 300 egzemplarzy. Redaktorem odpowiedzialnym został Edmund Rodziewirz, redaktorem naczelnym — Jan Krasicki. Artykuły szesnastolatka, na które m.in. zwrócił uwagę „Kurier Wileński", to reminiscencje lektur podsuwanych przez ojca, Fryderyka Krasickiego (byłego studenta prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i redaktora krakowskiego „Przyjaciela Ludu", działacza społecznego i posła na sejm), który „zaraził" Janka twórczością małopolskiego pisarza i filozofa, Stanisława Brzozowskiego. To również echa publicystyki Dembińskiego z „Po Prostu". Z kolei we wczesnych wierszach Krasickiego, publikowanych również na łamach „Kuriera Wileńskiego", wyraźny jest klimat twórczości „Żagarystów", którymi uczeń VI klasy gimnazjum był autentycznie zafascynowany. Im właśnie poświęcił jeden z referatów, przygotowany dla Koła Literackiego z polecenia profesara Rodziewicza. Tekst powstał w grudniu 1935 roku, po spotkaniu autorskim Czesława Miłosza, Jerzego Zagórskiego i Jerzego Putramenta w Święcianach. Jeżeli nie pionierska to była, to na pewno ocena krytyczna wczesnej twórczości literackiej Czesława Miłosza. W mojej książce pt. „Janek Krasicki" wydanej przez „Iskry" w 1.:.4 roku, zamieściłam — z przyczyn technicznych jedynie fragment wstępu. Całość tekstu będzie publikowana po raz pierwszy.

„Poezja polska młodego pokolenia"

Pamiętam, jak lat temu prawie pięć z zdumieniem i nieufnością patrzyłem na dodatek do „Kuriera Wileńskiego": „Piony" i oglądając (oglądając!) jakieś wiersze dziwne, niepodobne do wierszy, z jakimi się stykałem w szkole, ruszałem ramionami i więcej już nie interesowałem się tymi „zwarjowanymi", jak je nazwałem „Pionami". A wyszło ich kilka numerów, które jako prenumeratorzy „Kuriera Wileńskiego" otrzymaliśmy i my, a że ukazywały się „Piony" w niedziele, nosiłem je razem z gazetą do domu. „Piony" była to 8 stronicowa (o ile pamiętam) wkładka, o czarnym, ostro pisanym tytule, pełno wierszy i artykułów, nigdy nie czytanych — bo ich nie rozumiałem. Nie wiedziałem, nie mogłem wiedzieć, że „Piony" staną się wkrótce historycznymi, że będą konieczne dla poznania prądów nurtujących młode pokolenie literackie, jako wyraz silnej, mocnej, o dużym zasięgu grupy poetów i publicystów wileńskich. W poezji polskiej najmłodszego pokolenia lat ostatnich, poeci wileńscy grają dużą rolę. Znani są pod nazwą „Żagarów" — bo „Piony" były tylko kontynuacją „Żagarów", dodatku literackiego przy „Słowie". W 1931 r. w kwietniu ukazał się pierwszy numer „Żagarów" i zgrupował przy sobie najzdolniejsze jednostki młodzieży wileńskiej.

Interesują się wszystkim — wszystko poddają krytyce i szukają gorączkowo drogowskazów życiowych. Głęboko wczuwając się w współczesność, będąc z nią silnie związani, widzą jednak zło, niedoskonałość istniejącego ustroju i radykalizują się coraz bardziej. Od literatury żądają uspołecznienia, kontaktu z życiem społecznym, związku z pracą ludzką. Pod względem artystycznym zbliżają się zgrupowani tu poeci do awangardy, zachowując jednak dużo niezależności i rezerwy. Poezje drukują tu: Miłosz, Zagórski, Bujnicki artykuły: Jędrychowski, Maśliński, Dembiński. Ale wkrótce radykalizm nowej grupy zmusza ją do zerwania ze „Słowem" i rozpoczynają oni wydawanie przy „Kurierze Wileńskim" „Pionów". Tu już linia jest bardziej wyraźna — radykalizm coraz bardziej określony walka z wszelką bezideowością, bezprogramowością, walka o literaturę społeczną. Atmosfera walki, wrośnięcia w współczesność, świadomość przemian i wstrząsów, jaką daje bystre spojrzenie w życie współczesne — oto jest podłoże poezji grupy „Żagarów".

Dalsze losy pisma „idącego Wilna" są pełne przygód i po „Pionach" w 1933 r. wychodzą „Smugi", już jako niezależne pismo literackie, i

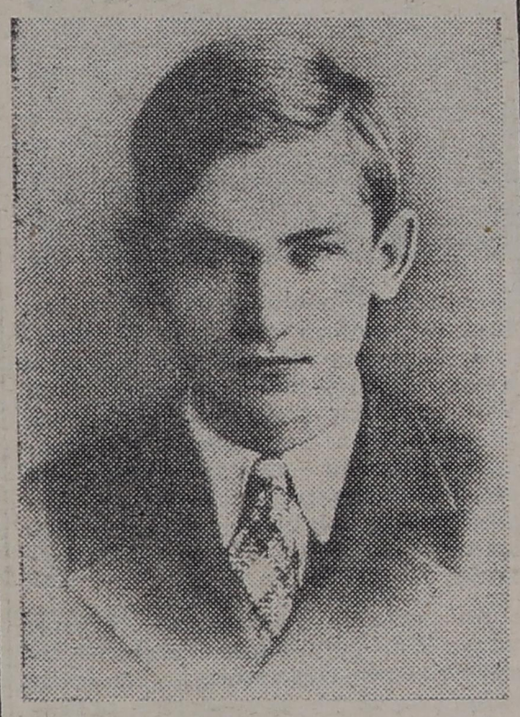

w listopadzie 1933 r. zmartwychwstają „Żagary", ale też jako pismo samodzielne Ale niedługo istnieją nowe „Żagary". Następuje przerwa, potem zaś grupa o zainteresowaniach ściśle literackich tworzy z J. Maślińskim na czele „Kolumnę Literacką" przy „Kurierze Wileńskim", grupa zaś radykalna, z Jędrychowskim, Dembińskim, częściowo Miłoszem, Zagórskim, Mikułką wydaje „Czytamy", potem „Po Prostu".

*

Wyrazicielem atmosfery „Żagarów-Pionów", jej emanacją, jest Miłosz w swym „Poemacie o czasie zastygłym". W męskich, jasnych, o sprecyzowanej linji myślowej wierszach wyraża Miłosz wyrośnięcie w współczesność, rozumienie jej każdego drgania, jej najczulszego pulsu. Ale rzeczywistość musi ulec zmianie — rzeczywistość współczesna jest zbyt niedoskonała, zbyt dużo w niej walki, katastrof, załamań, na zbyt użyźnionej krwią glebie wyrosła, aby nie ciążyła tym młodym, którzy czuli się zawieszeni między wczoraj a jutrem. Będąc złączeni z współczesnością nierozerwalnemi węzłami i widząc, że musi nadejść inne jutro, nabrali przeświadczenia o konieczności przeminięcia, o przekleństwie ciążącym nad ich pokoleniem. „Przeklętem jesteśmy bowiem pokoleniem" — oto sformułowanie lapidarne i pełne męskiej determinnacji, ale wiersza tego nie włączył Miłosz do swego zbiorku. Twarde jest to pokolenie, świadome swej przejściowości, świadome roli tych, co oczyścić mają świat dla lepszej przyszłości i kochają tylko życie pełne trudu, pracy, wysiłku.

„Wyzwoleni z miłości, która jakże ginie
Od powiewu tej wojny która nas wydała
Wiemy, że wszelka prawda jest niedoskonała
A piękne są surowo połączone linje".
— „Dysk"

Wiara w przyszłość, której nie dosięgną, bo są „przeklętem" pokoleniem, widok przemian i przewrotów wywiera swoje piętno na całej tej poezji — jest niem oczekiwanie katastrofy, przewrotu, zagłady teraźniejszości.

.... idzie pusta noc, na naszych
oczach leży ślepa noc
symboliczna a z magnetycznych
pól, jak martwy posąg
na koniu cwałuje wśród chrzęstu
lat
prawda nielogiczna".

Więc ta miłość życia, upajanie się życiem jest wywoływane grozą zagłady, katastrofy. Duch katastrofizmu przepaja poezję Miłosza. Ale jest to postawa heroiczna, postawa walczących — jest w tym tragizm niezawinionej kary i zagłady.

Ta postawa młodzieńcza surowa ale walcząca wikła swą linię, bo „pod tym niebem w XX wieku życie trudne i prawda niełatwa". W „Trzech zimach" Miłosz już tylko odczuwa bieg świata dzisiejszego ku katastrofie, nad światem wisi cień zagłady. Już tu nie ma jasnej linii, nie ma zespolenia z współczesnością, nie ma realizmu z „Poematu o czasie zastygłym" — tu jest pewien mistycyzm śmierci, groza śmierci. Poeta nie znalazł drogi, wiodącej z koszmarnej teraźniejszości ku przyszłości, ale zagubił się, zabłąkał i tylko duch zagłady, konieczność przeminięcia zabarwiają pesymizmem i smutkiem jego poezję. Wiersz „O książce" wyraża najjaśniej świadomość klątwy zawisłej nad pokoleniem poety:

„My niespokojni, ślepi i epoce
wierni,
gdzieś daleko idziemy, nad nami
październik
szumi liściem, jak tamten łopotał
sztandarem.
Wawrzyn jest niedostępny nam,
świadomym kary jaką
czas tym wyznacza, którzy
pokochali
doczesność ogłuszoną hałasem
metali.
Więc sławę nam znaczono
stworzyć — bezimienną
jak okrzyk pożegnalny
odchodzących — w ciemność".

Artystycznie różni się „Poemat o czasie zastygłym" od „Trzech zim" do prozy język nasycony słowami — w pierwszym znać wyraźne wpływy awangardy Rytm zbliżony do prozy, język nasycony słowami zaczerpniętymi z techniki, nadaje charakterystyczną barwę. Wielka płynność, szerokość oddechu tych wierszy nadaje piętno epickości. Obrazy sugestywne, splatające się ze sobą, kojarzące, malują szeroki widok, otwierają nowe myślowe horyzonty — ale nigdy kosztem jasności. Ta epickość, bogactwo obrazów sprawiają, że wiersze Miłosza zapadają się głęboko w pamięć i wywołują nastrój powagi stężonej i twardej. W „Trzech zimach" wiersz jest już regularny, język bardziej melodyjny, bardziej poetyczny, obrazowość nadzwyczajna, ale jak często gubi się myśl, staje się niejasna, trudna do pochwycenia. Dotyczy to zwłaszcza dłuższych poematów, jak „Ptaki", „Bramy arsenału", „Hymn". Bo w szeregu wierszy Miłosz pozostał bliski dawnemu i atmosfera tam panuje z „Poematu".

Jest Miłosz dzisiaj poetą znanym, cenionym w całej Polsce (w 1935 roku — przyp. K.K.) cenionym zwłaszcza przez licznych młodych, którzy w jego poezji odnaleźli wyraz swych nastrojów, swej duszy — bo poezja Miłosza to poezja człowieka odczuwającego grozę współczesności, ale nie mogącego znaleźć drogi wiodącej poza tę współczesność — i czekającego tylko zagłady.

*

Drugim poetą wyrosłym w atmosferze „Żagarów" jest Jerzy Zagórski. Jest to inny zupełnie typ twórczy inna jest jego poezja. Nie tak silnie wrośnięty w współczesność, nie poddaje się, jak Miłosz, psychozie zagłady, katastrofie. Współczesność oskarża ostro, ale z pewnego dystansu, nie — jak Miłosz, który oskarżając swą epokę, oskarża i siebie, nie absorbuje go cna całego. Nie ma w nim determinacji, uczucia grożącej zagłady, nie ma tej powagi i dojrzałości tragicznej — co znajdziemy w „Poemacie o czasie zastygłym". Zagórskiego „Ostrze mostu" zdradza raczej skłonność ku złośliwej karykaturze, ku wydobywaniu z zwykłego życia jakiejś niezwykłości, grozy irracjonalnej. („Pracownia"), ku wydobywaniu jakiejś utajonej monstrualności, zwierzęcości („Organizm" „Owady", „C.K.M."). Niezwykłość, pewna doza egzotyki, zimne, ironiczne, nieraz złośliwe spojrzenie na świat, cechują Zagórskiego. To poeta już nie społecznej, ale poeta biologicznej grozy. Ale to może lęk przed współczesnością?

I styl Zagórskiego odpowiada jego postawie. Poezja Zagórskiego to kilka śmiało i niespodziewanie zestawionych obrazów, zestawionych sucho, zda się, bez cienia uczucia, zimno i z jak największą oszczędnością słów. Te wiersze to są tylko rzuty, szkice. Chociaż z drugiej strony są w zbiorku wiersze innego typu — wiersze pełne skłębionych obrazów, metafor, ujęte w strofy, przypominające wiersze Rimbaud'a lub, z naszych poetów, Tuwima w młodzieńczych utworach.

Ale dziś Zagórski ma drugi tom za sobą: poemat pt. „Walka z wrogiem". Tu cały pogrążył się w mistycyzmie stworzył wizję walki z Antychrystem, wizję ginącego świata, pełną fantastycznych scen, płomienną, ale rozwiewającą się, mglistą, odrzucającą i nęcącą przepychem tła i obrazów i narzucającą nastrój grozy i katastrofy. Katastrofizm przejawił się u Zagórskiego w formie religijno-mistycznej, a płynie on z lęku przed naszą epoką przemian i przewrotów.

*

Najmłodszym z znanych poetów „żagarystów" jest Jerzy Putrament. Publikować swe poezje począł dopiero w „Pionach". Wydany w 1935 r. tomik wierszy pt. „Wczoraj powrót" jest przepojony kultem wysiłku, kultem radości życia. Tężyzna, siła biją z tych wierszy. W silnie zbudowanych, zwartych, o śmiałej metaforyce wierszach Putrament opiewa bohaterstwo badaczy polarnych i „piętnastu skrycie utopionych czylijskich komunistów" kataklizmy przyrody, sport, walkę bojowców 1905 r., ale też egzotyczne sny chłopca, przyrodę, samotność znęconego Afryką Rimbauda. „Sny pana dyrektora", dłuższy wiersz zbudowany na skojarzeniach sennych jest obrazem, jak w psychice kapitalisty odbija się groźna współczesność, jak dusi, niepokoi. „Wczoraj powrót" to afirmacja życia, bez ponurej groźby katastrofy, która jest zagładą. Bo i tu przebija, w sposób subtelny i niekrzyczący, oczekiwanie burzy — ale bez jej bojaźni.

„Południe jest tak gorące że spalone na niebiesko powietrze osiada na siwem zbożu, budząc w niem leniwe dreszcze. Kiedy upadnie wiatr, niosący słodką woń żółtozielonego łubinu nad wodą rozgrzaną, która w zamyśleniu do nieba się uśmiecha, można raczej wyczuć, niż słyszeć echa odległych gromów dudniących bez przerwy, głucho, jak daleka artylerja, osłaniająca natarcie, które się zaczyna".

Piękne są obrazy przyrody o nowym spojrzeniu na nią, nasycone bogactwem metafory i konstrukcji zwartej, mocnej.

Realizm i silnie ujęty w ramy metafor liryzm — oto poezja Putramenta. Realizm wydobywający nowe perspektywy, nie ograniczający się do opisywania tylko rzeczywistości, wydobycie wartości poetyckich z języka prawie potocznego są to ciekawe i wartościowe elementy tej poezji.

*

Z poetów-wilnian nie można pominąć kilku innych, którzy w przeważnej części nie wydali zbiorków poetyckich, ale drukują swe poezje w czasopismach. Miłe są wiersze T. Bujnickiego, pełne liryzmu i melodyjności, wiersze młodego poety J. Huszczy (Olechny) wyróżniające się kolorytem lokalnym, nadzwyczaj melodyjne, ciche i subtelne; ogłasza nieliczne poezje J. Maśliński, śmiały i ostry krytyk literacki.

Wszystkich tych poetów wileńskich, poetów młodego Wilna, charakteryzuje duży stopień nowatorstwa, sięganie po nową tematykę i stanowią oni nową grupę literacką wśród młodych.

*

Cz. Miłosz, J. Zagórski i J. Putrament recytowali w Święcianach w listopadzie swe wiersze. T. Łopalewski odczytał fragment najnowszej powieści. Dzięki temu właśnie wszyscy mogli zapoznać się najogólniej chociażby z literackim Wilnem o którym olbrzymia większość nigdy nie słyszała — choć Wilno obok.

Opracowała:
KRYSTYNA KONECKA

nieznane karty

Nie dajmy się biedzie

WŁADYSŁAW TOCKI

paragraf na byka

— W tej chwili — mówi dyrektor — nikt nam brudnym paluchem w zupie nie miesza; nie nakazuje, zakazuje, nie „pomaga". Samorządność, samofinansowanie na razie znaleźć można na papierze. Ustawa o przedsiębiorstwie i samorządzie kluje się tak długo, że mam obawę, czy aby nie doczekamy się wielkiego zbuka.

Kombinat „Wizna" to przede wszystkim oszałamiające cyfry: 4,5 tys. hektarów łąk, 1 260 hektarów ziemi ornej, prawie 1 300 nieużytków i lasów, w których spotkać się można oko w oko z łosiem, z chmarą dzików dobierających się jesienią do ziemniaków, pól kukurydzy, buraków. To także fermy w Grądach i Sulinie na 9 tys. opasów, chlewnie w Kupiskach na 3,2 tys. świń, 40 hektarów sadu i ferma kur zarodowych w Marianowie, chlewnia o tzw. zamkniętym cyklu hodowlanym w Porytem z 200 maciorami oraz 6 suszarni, mieszalnia pasz i gorzelnia w Drogorzewie.

„Wizna" powstała z bagien. Żyzne, osuszone torfowiska sprawiają, że przy dobrych warunkach atmosferycznych kombinat jest samowystarczalny paszowo nawet wówczas, gdy wykorzystane jest każde stanowisko hodowlane. Za kilka lat, choć nikt tu z tego powodu nie wpada jeszcze w panikę, może być jednak gorzej. Z roku na rok, powoli, ale nieuchronnie, wdziera się na wydarte bagnom łąki stepowo-bagienna roślinność. Na pastwiskach tworzą się coraz większe rozlewiska. Bagno atakuje — widać to choćby z nasypu gładkiej szosy Wizna — Grądy, i nie da się tego ukryć. Sytuacja pogorszyła się szczególnie w ciągu ostatnich trzech, obfitych w opady, lat. Dała znać o sobie beztroska, z jaką przed laty zamknięto roboty nie wykonując ich do końca. Brak obwałowań wzdłuż Narwi, przepompowni zdolnych przerzucić do rzeki nadmiar wód, powoduje podtapianie łąk, nie pozwala na właściwą konserwację całej sieci rowów i kanałów. W kombinacie przekonują mnie, iż nie ma powodu do tragizowania, niemniej proces stepowienia gleby już się rozpoczął. I nie ma pewności, że ulegnie naturalnemu zahamowaniu, gdy przyjdą lata o przyzwoitych wskaźnikach opadów. W każdym razie podobne kalkulacje opierać się będą jedynie na pobożnych życzeniach kierowanych bynajmniej nie do ziemskich sfer.

— Nauka kosztuje — filozoficznie replikuje dyrektor, gdy wspominam o ogromnych nakładach wrzuconych w bagna, by je osuszyć. — Dlatego potrzebna jest konserwacja. Inaczej każdy eksperyment pójdzie na marne. „Wizna" mogła dać pełną odpowiedź: czy opłaca się wydzierać naturze ziemię takim kosztem, czy też nie, ale jej nie da. Bo nie wiadomo jaki byłby efekt, gdyby roboty wykonano tak, jak to zakładano w planach.

Na razie w oborach Grądów, Sulina, chlewniach Marianowa i Porytego głodu nie ma. Wręcz przeciwnie — w tym roku paszy jest pod dostatkiem. Nad wspaniałymi trawami kombinatu z podziwem kiwali głowami nawet naukowcy z Akademii Techniczno-Rolniczej z Olsztyna. Nad — a raczej pod — kukurydzą ponad dwumetrowej wysokości kiwałem ja. A jednak w ciągu siedemnastu lat istnienia gospodarstwa, zaledwie pięć z nich zamknięto wymaganym od lipca zyskiem. 120 milionów złotych strat — to rachunek działalności kombinatu jedynie w ostatnich dwóch latach. Taka jest prawda.

Ale prawdą jest również i to, że sprzedając w roku ubiegłym 2 700 ton wołowiny „Wizna" dopłaciła do interesu 135 milionów złotych. Na fermie w Grądach i Sulinie wyprodukowanie jednego kilograma mięsa kosztowało wówczas 80—85 złotych. Za ten sam kilogram zakłady otrzymywały złotych 32. I niczego w tym względzie nie zmieniły ostatnie podwyżki cen. Na korzyść. Gdyż na minus, owszem — cena skupu wynosi teraz wprawdzie 72—80 złotych, ale wzrost cen pasz podniósł koszt tuczu do 140 złotych.

Jeśli gospodarstwo ma przynosić zysk — co w myśl lipcowej reformy jest jedynym gwarantem chroniącym je przed likwidacją — stoją przed nim trzy drogi wyjścia: likwidacja nieopłacalnej produkcji wołowiny i wieprzowiny; znaczne zmniejszenie kosztów produkcji bez ograniczenia hodowli; rozwinięcie pozarolniczej, dochodowej działalności na taką skalę, by pokryła całą nieopłacalną hodowlę.

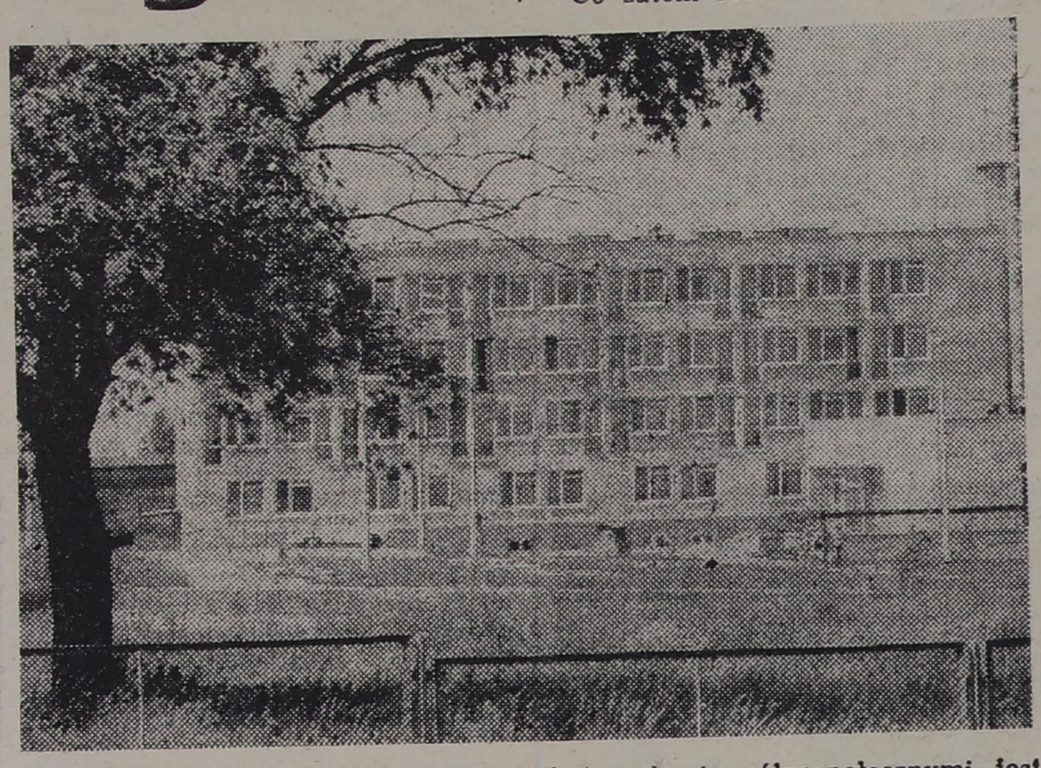

Oczywiście najprościej byłoby zamknąć fermy w Grądach, Sulinie i Kupiskach, sprzedać siano, zielonki i zboże — i w tym jeszcze roku gospodarstwo osiągnąć mogłoby najwyższy w swej historii dochód. Tylko co począć wówczas z nowoczesnymi budynkami, z tysiącami stanowisk, w które włożono setki milionów złotych? Co z ludźmi, którzy związali swój los z kombinatem i wcale nie chcą stąd odchodzić? A „Wizna" to w końcu nie tylko obory, chlewnie, warsztaty, słupki wskaźników, wachlarz cyfr. To również miasteczko domów z bieżącą wodą i centralnym ogrzewaniem, betonowe uliczki, nowoczesna szkoła, sklepy, przedszkole, dom kultury. Na miejscu lepianek bez podłóg i kilkumorgowej nędzy. To także zmienione oblicze sąsiednich wsi, dźwigających się dzięki melioracji z parcianego bytowania. Franciszek Domalewski bez specjalnej zachęty opowie każdemu, jak wcześniej wyglądało koszenie łąk, ile zwoziło się siana: — Dwa machnięcia kosą, wyciągnięcie nóg z grzęzawiska, krok do przodu dwa machnięcia i tak dalej. Z dwóch mórg mieściło się wszystko na jednej furce. I to dopiero zimą, gdy mrozy skuły ziemię.

Czy zatem, patrząc na „Wiznę", należy brać pod uwagę jedynie przeliczalny złotówkowy zysk? Wydaje się, że tak. Przecież nic innego, jak wieczne korygowanie praw ekonomicznych racjami „wyższymi" rozkładało od 1945 roku naszą gospodarkę.

Dyrektor pyta więc, czy w sytuacji, gdy grubo ponad miliard dolarów ładujemy miesięcznie w import żywności, można machnąć ręką na ich „deficytową" wołowinę? Nawet w imię gospodarczych racji przedsiębiorstwa? Dlatego w „Wiźnie" skłaniają się na razie ku dwu ostatnim wariantom: zmniejszanie kosztów produkcji bez ograniczenia wielkości hodowli oraz rozwijanie działalności pozarolniczej. Przeprofilowanie produkcji na mniej deficytowe świnie nie wchodzi bowiem w ogóle w grę, bo kombinat to łąki, a siana świnie jeść po prostu nie chcą. Zresztą i tu — przy kalkulacji: 90—95 złotych koszt i 86 ewentualny zysk z jednego kilograma — przedsiębiorstwo traci średnio na sztuce 400—900 złotych.

Co zatem robić? Wynik myślenia kategoriami ogólnospołecznymi jest taki, iż pierwszy rok reformy zamknąć wypadnie w „Wiźnie" okrągłą kwotą 30 milionów złotych strat. Więc na razie podejmuje się szereg przemyślnych kombinacji, które ogólnie określić można szukaniem grosza bez drastycznych zmian w hodowli. Te działania — już podejmowane — mają dać odpowiedź na pytanie: co dalej?

Na początek planuje się przede wszystkim poszukanie zniesławionych rezerw. Organizacyjnych, technologicznych — tkwiących potencjalnie w pomyśle każdego pracownika. A kilka ich już jest.

W czerwcu utworzono w Grądach punkt rejestracji i legalizacji ciągników. Wyjazd do Zambrowa kosztował dzień czasu. Teraz, gdy rzecz załatwia się na miejscu, okresowy przegląd 150 traktorów daje oszczędność 150 dniówek, setki litrów paliwa i możliwość wykorzystania sprzętu w pracy, a nie w pustych przebiegach. Punkt obsługuje również okolicznych rolników indywidualnych, zarabiając tym samym na swoje utrzymanie.

Jeszcze przed lipcem postanowiono do minimum ograniczyć produkcję suszu z traw i kukurydzy, przeznaczając je na kiszonki. Zostanie kilkadziesiąt tysięcy kiłowatów energii elektrycznej i dziesiątki ton węgla. Jednocześnie brygady z suszarni można było skierować na łąki i przyspieszyć zbiór traw.

Po ograniczeniu własnych inwestycji, za robotą poza przedsiębiorstwem, obejrzała się brygada remontowo-budowlana. Na razie ma zajęcie przy rozbudowie Banku Spółdzielczego w Wysokiem Mazowieckiem.

Niedawno kombinat podpisał umowę z cukrownią w Łapach na transport buraków. Praktycznie bezczynny w listopadzie i grudniu transport, zwłaszcza ciągnikowy, powinien z nadwyżką w ciągu tych miesięcy zarobić na płace traktorzystów.

W okresie zimy warsztaty rozpoczną budowę specjalnych przyczep do zbioru traw i produkcję najniezbędniejszych części zamiennych.

W „domowy" sposób — uruchamiając w maju dział wulkanizacji opon — uratował się kombinat przed brakiem ogumienia. Tu zaczęto też wykonywanie uszczelek hydraulicznych, po które zaopatrzeniowiec gaiał jeszcze nie tak dawno na drugi koniec Polski.

Dzisiaj „Wizna" jest po małej, wewnętrznej reorganizacji: usamodzielniły się zakłady w Porytem i Marianowie. Mają szanse wyjść z plusem. Ich wynik finansowy nie będzie jednak liczył się w ogólnym koncie kombinatu. To źle i dobrze. Źle, bo wówczas ogólny bilans niewątpliwie zacząłby szybciej wychodzić „spod kreski"; dobrze, gdyż zakłady „wyrabiające" straty znacznie intensywniej muszą myśleć, jak z tego wybrnąć. Nikt na nie nie będzie pracował.

— Poza tym — snują optymistyczną wizję w dyrekcji — jest szansa na częściową przynajmniej eliminację zła najgorszego: wielkich kosztów produkcji. Wkrótce gospodarstwo przejdzie w całości na tzw. cykl zamknięty w hodowli świń. Własne prosię i warchlak kosztuje znacznie mniej, zapewnia też ciągłość hodowli.

Spadek kosztów uzyskać można również w chowie bydła. Tu jednocześnie najbardziej widać dobrodziejstwo samodzielności. A decyzja — kiedy dokonać sprzedaży — nie jest z ekonomicznego punktu widzenia bez znaczenia. Aby uzyskać dwie tony mięsa sprzedać można bowiem dziesięć sztuk dwustukilogramowych, albo pięć po czterysta kilogramów. Pięć cieląt to dwadzieścia kilka tysięcy zbędnie wydanych pieniędzy przy efekcie takim samym, gdy sprzedaje się sztuki dorosłe. Do niedawna takie myślenie nie miało racji bytu. Przychodziło polecenie i trzeba było ładować na przyczepę opasy, jakie akurat były. Na taki drobiazg, jak waga optymalna, decydenci nie zwracali już uwagi.

Wszystko to jednak półśrodki: jak długo nie będzie opłacalna podstawowa działalność rolnicza — hodowla i uprawa — tak długo nie będzie polskiego rolnictwa. I żadne zabiegi nie będą w stanie wykreślić deficytu z biografii nie tylko „Wizny". Nie będą też w stanie ustrzec nas przed dalszym spadkiem nieopłacalnej hodowli. A w tej chwili — jeśli nie chce się dopuścić do likwidacji przedsiębiorstwa — jest to jedyne wyjście.

W kombinacie na razie oponują przed wizją pustych obór i chlewni.

— Ktoś to mięso musi jednak produkować — słyszę. — Żywność jest teraz najważniejsza.

To prawda. Obawiam się jednak, że jeśli dyrekcja nie oprze się mocniej na prostym rachunku strat i zysków, lecz na „społecznikowskich" uczuciach, za trzy lata dojść może do tego, co tak sugestywnie pokazał mi traktorzysta. Nowy system przewiduje bowiem premiowanie od wyników, ściślej — za zysk. Końcowy efekt decydować też będzie o częstotliwości podwyżek. Nie wiem więc, czy ciężko pracujący ludzie, przyjmą wyjaśnienie: nie ma premii, gdyż produkujemy deficytową wołowinę. Robimy to, bo kraj czeka... Nie jestem też przekonany, czy rolnik, „uspołeczniony" i indywidualny, powinien być wiecznym filantropem, bo — dobro ogólne, bo naród, bo ojczyzna.

— Słówkami i na uczucia wskórać coś można jedynie u dziewczyny — potwierdza jakby moje przeczucia dziadek Domalewski — Ale wtedy też trzeba mieć czym.

Fot. GABOR LÖRINCZY
ANDRZEJ MOCZYDŁOWSKI

nurzanie w odnowie

Proszę o zamieszczenie następujące sprostowania moich wypowiedzi: 1) Przeniesienie bez uprzedzenia przed kilku laty sklepu z Murawskich do Kossaków wywołało niezadowolenie mieszkańców Murawskich (a nie konflikt). 2) Mieszkańcy wsi Żebry Laskowiec skłóceni zostali w związku z próbą podjęcia budowy sklepu. Sklepu się nie buduje, konflikt jest. Odnośnie oceny, która z proponowanych lokalizacji jest lepsza lub gorsza nie wypowiadałem się.

Stanisław Galanty
z-ca przewodniczącego GRN
w Nurze

W związku z artykułem red. Świredo w tyg. „Kontakty" z dn. 30.08. 81 r. my, mieszkańcy Obrytego czujemy się obrażeni oszczerstwami ze strony Ołowskich. Uważamy, że nie powinno pisać się jednostronnie i tendencyjnie. Z Ołowskich do Obrytego jest tylko 500 m i mógłby się Pan Redaktor pofatygować i wysłuchać drugiej strony. Pochwalić się mamy czym. Zasłużonych obywateli mamy czworo, którzy również posiadają odznaczenia i medale. I co najważniejsze, są to uczciwi ludzie. pracują ciężko, udzielają się społecznie (m.in. Halina Kuzak pełni funkcję sekretarza ZBoWiD) i ani im w głowie wykorzystywanie odznaczeń do zatargów międzysąsiedzkich. Najważniejszą sprawą dla rozmówców Pana Redaktora było zburzenie sklepu budowanego w Obrytem, a wyszło im gigantyczne obszczekiwanie Naczelnika Gminy. Podejrzewamy, że gdyby budowano sklep w Ołowskich Naczelnik byłby dotknięty.

Nieprawdą jest jakoby mieszkańcy Murawskich zaopatrywali się w sklepie w Ołowskich, co łatwo sprawdzić. Mają znacznie bliżej do Kossaków i z ich wsią „stanowią nierozerwalny organizm", a nie z Ołowskimi, jak to stwierdzono w „Kontaktach". Pan Ołowski w zapędzie zapomniał o Myśliborach, z którymi jego wieś sąsiaduje, a przylepił się do następnej, większej, jaką są Murawskie. I wyszło mu razem 41 gospodarzy, a nie chce się przyznać, że w Ołowskich jest tylko 15 gospodarzy. A jakby nie liczył, to Obryte jest dwa razy większe. Nieprawdą jest, że w perspektywicznym planie zagospodarowania przestrzennego wsi uwzględniono budowę sklepu we wsi Ołowskie. Zaplanowano go w granicach wsi Obryte, aczkolwiek na gruntach należących obecnie do mieszkańca wsi Ołowskie. Sprawę budowy sklepu w Obryte omawiano na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym za okres 1979 r., w styczniu roku 1980, w wyniku czego GS Ciechanowiec poinformował sołtysa wsi Obryte na piśmie o planie budowy sklepu w Obrytem w 1981 r. W tymże roku samorząd wiejski na zebraniu mieszkańców powołał społeczny komitet budowy sklepu. Powyższą propozycję przedstawiono na walnym zgromadzeniu GS „SCh" w Ciechanowcu w 1981 r. Walne zgromadzenie zaakceptowało propozycję mieszkańców wsi Obryte. Na tym zebraniu propozycji budowy sklepu ze strony innych wsi nie było. W chwili obecnej w sklepie w Ołowskich zaopatrują się mieszkańcy sąsiedniej wsi Myślibory, wsi Obryte, a także leżącej za Obrytem wsi Ślepowrony, ciągnącej się na długości ok. 2 km. W związku z powyższym, lokalizacja sklepu w Obrytem jest właściwa, biorąc pod uwagę wszystkich zainteresowanych. Ponadto uważamy, że artykuł zawiera nie zawsze prawdziwe informacje, pochodzące od osób wątpliwej wartości społecznej i moralnej. I tak, ob. Tadeusz Dudek zarzuca innym pijaństwo i kłusownictwo, chyba tylko dlatego, by odwrócić uwagę od siebie. A przecież w okolicy wszyscy go dobrze znają. Podobnie jak właściciel ciągle zmieniającej się stadniny koni, Zdzisław Koc, który posiada szereg maszyn i urządzeń sprzętu rolniczego, których nie wymienia się w artykule, przyczepiając się do innych, którzy taki sprzęt posiadają.

Mieszkańcy wsi Obryte
gm. Nur

Zdziwiony jestem sprzeciwem pana Stanisława Galantego w świetle tego, co mi mówił, ale skoro życzy on sobie tego, gotów jestem je przyjąć, bowiem i tak nie zmienia to wymowy artykułu ani jego strony dowodowej.

Autorom listu z Obrytego winien jestem podstawowe przypomnienie, iż treścią mojego tekstu nie jest zatarg między Ołowskimi a Obrytem, lecz głębokie niezadowolenie mieszkańców Ołowskiego i Myśliborów z administracji w Nurze. Z tego względu interesowało mnie wysłuchanie racji tych stron, a nie innych.

O zasługach społecznych Lucjana Ołowskiego dowiedziałem się przypadkowo i nie stawiał on ich jako argumentów przeciwko nurzańskim urzędnikom. Wymieniłem te zasługi, gdyż samego mnie zastanowiło, dlaczego człowiek tak zahartowany, życiowo szuka sprzymierzeńców przeciwko bonzom aż w redakcji i traktuje tę pomoc jako ostateczną możliwość. W dalszej części tekstu spróbowałem dać na to odpowiedź sobie i innym.

Faktycznie, jest w tekście błąd. To Myślibory z Ołowskimi tworzą nierozłączny organizm, a nie Murawskie. Chochlik drukarski przybliżył te miejscowości, które we wcześniejszym fragmencie zachowały prawidłowe odległości. Za omyłkę przepraszam wszystkich urażonych. Statystykę gospodarstw podanych przez Lucjana Ołowskiego w rozmowie z prezesem Tadeuszem Borkowskim chciałem na miejscu skonfrontować z danymi posiadanymi przez prezesa. Odesłał mnie on do Urzędu Gminy w Nurze, gdzie dane te weryfikowałem na podstawie księgi podatkowej. Nieaktualność wielu wpisów nie pozwoliła na potwierdzenie informacji Ołowskiego. Nie można ich było także porównać ze statystyką przekazaną w związku ze sprawą sklepu przez naczelnika gminy Nur Centralnemu Zarządowi Spółdzielni Rolnych, ponieważ wykaz ten był zrobiony tylko w jednym egzemplarzu. Oba te fakty kładą dodatkowe światło na nurzańską administrację. Ustna weryfikacja zapisów w księdze podatkowej przez sekretarza gminy pozwoliła przyjąć statystykę Ołowskiego za wiarygodną.

Perspektywiczny plan zagospodarowania przestrzennego wsi oglądałem w Urzędzie Gminy Nur, a komentarz do niego urzędnika gminy wskazywał na lokalizację sklepu w Ołowskich.

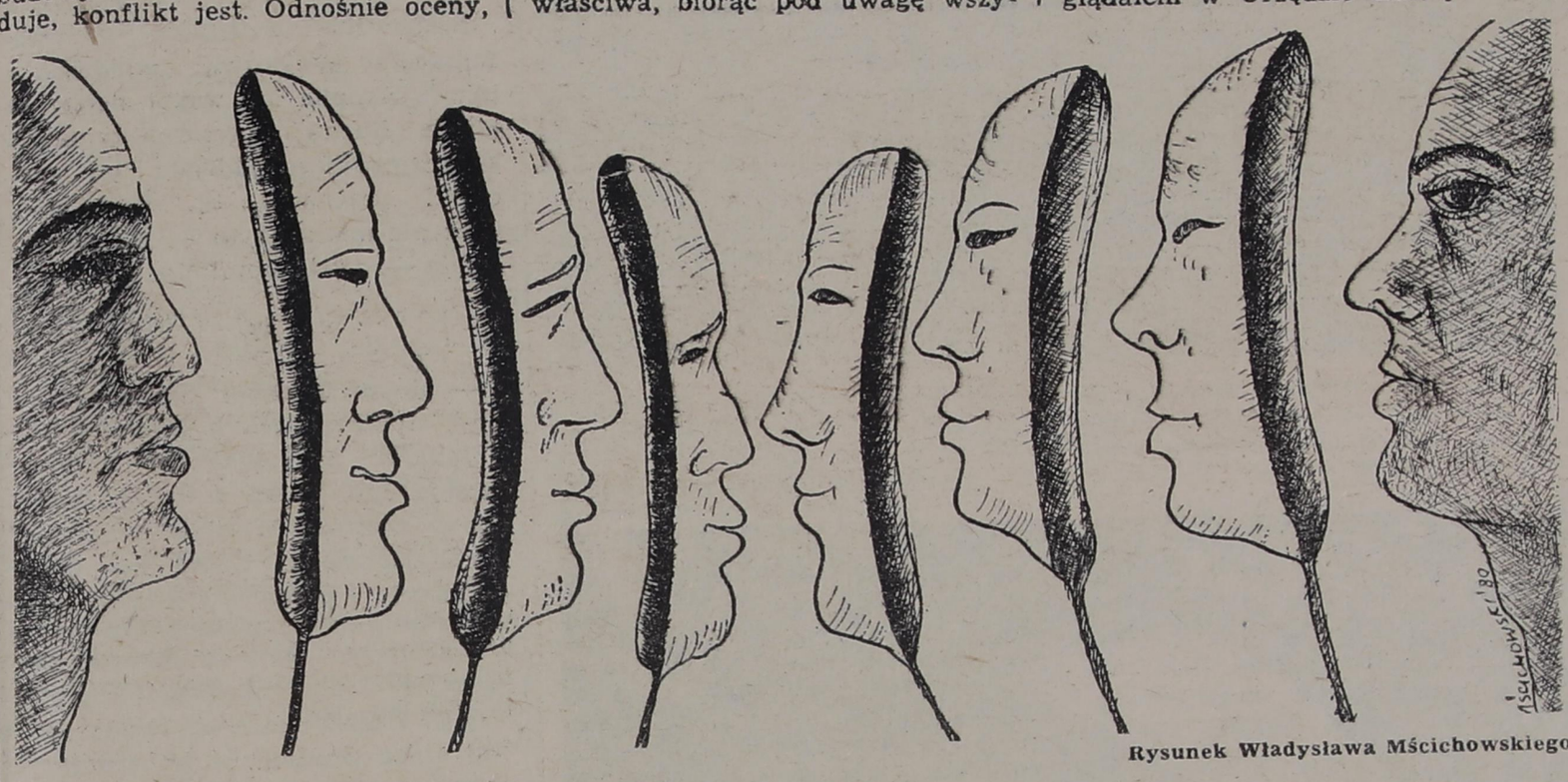

Rysunek Władysława Mścichowskiego

Protokołów zebrań sprawozdawczo-wyborczych geesu nie udostępniono mi, ponieważ właściwy sprawie urzędnik miał urlop, a zastępstw w takiej sytuacji gees nie przewiduje. Nie mogłem więc powiedzieć, czy sprawa budowy sklepu była omawiana w 1974 roku, czy nie i jakie były protokólarne zapisy dalszego przebiegu zdarzeń.

W sprawie lokalizacji sklepu nadal utrzymuję, że powinno obowiązywać kryterium skutków, a nie odległości mierzonej w metrach. Gdyby zmierzyć Polskę po przekątnych, to jej środek wypadłby gdzieś w okolicach Kutna. Czy to znaczy, że stolica Polski powinna być tam właśnie? Faktem niezbitym jest dla mnie, że dopóki sklep był w Ołowskich (chociaż w wynajmowanym lokalu), stosunki między obu wsiami były względnie poprawne. Decyzja o zmianie lokalizacji sklepu zrujnowała ten spokój. Nie jest też obojętne, że dwóch nauczycieli z ołowskiej szkoły zagroziło odejściem właśnie z powodu sklepu.

Co do osób zarzucających naczelnikowi niewłaściwy przydział maszyn, nie widziałem potrzeby sprawdzenia życiorysów moich rozmówców, uważając za wystarczające sprawdzenie zasadności ich zarzutów. Istotna jest bowiem treść zarzutu i jej potwierdzenie w rzeczywistości, a nie to, kto go czyni. Dokumentacja działu rolnego Urzędu Gminy upoważniła mnie do poddania w wątpliwość niektórych decyzji o przydziale maszyn.

Kontrargumenty zawarte w liście mieszkańców Obrytego są drugorzędne. Zasadnicza zaś pozostaje sprawa funkcjonowania nurzańskiej administracji i na ten temat, myślę, że powinien wypowiedzieć się ktoś inny niż moi korespondenci, chyba że potrafią dać odpowiedź dlaczego droga do bazy geesu w Nurze jest nieutwardzona, za to — do domu naczelnika asfaltowana i dlaczego owa gładka nawierzchnia kończy się dokładnie za jego posiadłością; na jakiej zasadzie przydzielano maszyny wymienionym przeze mnie osobom; kto i kiedy odbierał oficjalnie prom do użytku; dlaczego naczelnik nie respektuje postanowień GRN-u; i kto upoważnił go do „dzikiego budownictwa" w gminie?

A tytuł był rzeczywiście dwuznaczny. Nie widzę w tym nic złego, w świetle całości tekstu.

JULIUSZ ŚWIREDO

taniec niemocy

Żyjemy w czasach codziennych udręk, frustracji, powszechnego niezadowolenia. Są to czasy kryzysu społeczno-gospdarczego. Nie powinien on być jednak utożsamiany z kryzysem myślenia. Dziękuję redakcji „Kontaktów" za inicjatywy „nie dajmy się biedzie" — wiele zależy od nas samych, a więc zmieniajmy rzeczywistość, nie oglądając się na innych, na bezduszne często przepisy i stereotypy myślowe.

Danuta Wroniszewska w artykule „Taniec niemocy" zajęła się ważnym problemem naszego miasta, jakim jest dystrybucja gazu.

W sytuacji, gdy nie można zaopatrzyć się w rezrwową butlę gazową rozwiązanie wszystkich trosk wynikających z braku gazu tkwi w rękach pracowników, zajmujących się jego dystrybucją. Z tych też względów denerwujące są sytuacje, gdy oczekuje się kilka dni na wymianę butli, obserwuje się jednocześnie jak sąsiedzi z boku, z dołu i góry takie butlę otrzymują. Zdarza się również, że pod ten sam blok jednego dnia podjeżdżają dwa lub trzy samochody, realizując różne zamówienia. Tak, zgadza się, że obowiązuje nas wszystkich termin zgłoszenia. Ale... jest to słuszne i uzasadnione, gdy realizuje się zamówienia w trybie pilnym (np. kilkugodzinnym); również wówczas, gdy dysponuje się nadmiarem taboru dostawczego. Życie i treść artykułu takiej sytuacji zaprzeczają. Dlatego proponuję, aby poprzez właściwą organizację pracy, wykorzystując obecne warunki maksymalnie skrócić okres oczekiwania na upragnioną butlę.

Proponuję, aby miasto podzielić na sektory. Ich ilość oraz wielkość powinna być uzależniona od wielkości demograficznej, terytorialnej i ilości sprzętu będącego w dyspozycji „Korgazu". Nie wchodząc w szczegóły, bo są one zawarte w złożonym projekcie w ramach Turnieju Młodych Mistrzów Organizacji w ZW ZSMP idea jest następująca: panie przyjmujące zgłoszenie dzielą się na poszczególne sektory. Czynią to do momentu wyjazdu kierowcy obsługującego dany rejon. Wówczas nie termin zgłoszenia decyduje o kolejności, ale miejsce zamieszkania osoby zamawiającej. Należy to zorganizować przyjmując wariant dostaw porannych i popołudniowych.

Jakie są zalety tego rozwiązania?

— Tabor, będący w bardzo złym stanie przebywa mniejsze odległości — zyskujemy na szybkości obsługi poprzez skrócenie czasu dojazdu, „Korgaz" natomiast oszczędza paliwo.

— Kierowca, obsługujący przez dłuższy czas rejon zna dokładnie wszystkie adresy (tak jak w chwili obecnej np. listonosz), a obecnie zdarza się często, że kierowca pyta przechodniów, gdzie może być wskazany na zamówieniu adres.

Reasumując, uważam, że przy znacznym obniżeniu w powyższy sposób kosztów dostawy klient w krótszym niż dotychczas czasie otrzyma butlę gazową.

W wypadku zainteresowania propozycją przez kierownictwo „Korgazu" deklaruję każdą ilość wolnego czasu w celu opracowania szczegółów tejże koncepcji.

ROMAN ENGLER

polemiki

JULIUSZ ŚWIREDO

strofy goniące życie

Właściwie każda okazja jest dobra. Kiedy wykorzystuje na to długie oczekiwanie na przystankach autobusowych, przymusowe godziny jazdy pociągiem, przedsklepowe kolejki młodzi najczęściej pytają: „Czy pani występowała już w telewizji", starsi proszą o przepisanie tekstów, wręczają adresy, usilnie proszą o odwiedzenie. Raz, w Szczuczynie zaryzykowała to wobec kilku pijanych młodych mężczyzn na przystanku PKS. Jeden poprosił ją na stronę. Mówił o swojej matce, która spłonęła w pożarze, mówił, że nie ma odtąd spokoju, że musi pić. Pytał ją, dlaczego to robi, czy należy do jakiejś sekty, skąd u niej tyle odwołań do Ewangelii? Chciał się jakoś odwdzięczyć. Tuż obok w kiosku „Ruchu" — jedynym czynnym o tej porze punkcie sprzedaży — kupił papeterię. Prosił, żeby to przyjęła. W podzięce.

O, bohaterze XX wieku!
wszystkie swe troski topiący
w kieliszku,
w czas trzeba Ciebie otoczyć
opieką,
a bliźni dają pijaka przezwisko...

Przebudź się Bracie! I gromko się
oburz,
na wszystko to, co nam tu żyć
przeszkadza,
bo jeśli nie Ty, nie my, to któż
pomoże kraj nam z klęski
wyprowadzić?
O cześć Wam panowie ważniacy za
lud polski wódką zalany.

W latach sześćdziesiątych rosło w niej zainteresowanie problematyką społeczno-polityczną. Kulminacja tych pasji przypada na lata siedemdziesiąte. Wysłała wtedy listem poleconym do Komitetu Miejskiego PZPR w Grajewie pakiet swych wierszy. List podpisała czytelnym imieniem i nazwiskiem: Maria Ciołkowicz, podając dokładny adres: Grajewo, ul. Nowa 4. Programowy utwór tego cyklu zaczynał się słowami:

O cześć wam panowie, ważniacy!
za pseudosocjalizm, slogany [...]

— Nie pamiętam tego tekstu w całości. Wezwano mojego męża zaraz po liście do Komitetu partii. Ówczesny drugi sekretarz chwalił, że te „fraszki" są dobre, „tylko wiecie, po co do nas je przesyłaliście?" Rozmawiał też ze mną były komendant MO w Grajewie, prosząc o recytację tekstów. Radził, żebym na nie splunęła: „Po co się pani tym zajmować?" Odpowiedziałam: — Nie mogę, panie komendancie, siła wyższa.

Odpadłam
jak liść
wichrem miotany [...]
Brakiem serca

Budowane tamy
zamknęły mi powrót
Odpadłam
by iść

swoją drogą
szukać prawdy,
ciągle sama
gdy wspólnie
nie mogę.

— Początkowo nie chciałam, żeby moje wiersze kiedykolwiek miano drukować. Uważałam to za wybujałą miłość własną. Wolałam mówić je, czytać ludziom, z którymi stykam się bezpośrednio w potocznych sytuacjach życiowych. Potem bliscy namówili mnie, by dać te teksty do oceny piszącym.

Dziwię się, że coraz więcej jest
rozumujących
nie tak jakby oni chcieli

A przecież dają
książki prasę
radio telewizję
kino teatr

Mówi o sobie: zwolenniczka ludowładztwa. Ponad przynależność klasową przekłada przynależność moralną. Mieszkańcy Rajgrodu pamiętają ją z niecodziennej postawy w czasie wyborów w 1947 roku.

Trele morele bujdy dziwy
że każdy ma być wolny
i szczęśliwy
[...]
Równości nie ma i nie będzie!
Niech więc przestaną bujać już
kto zdrów i silny
pierwszy wszędzie —
pnie się do góry i wszerz
i wzdłuż.

Ciągoty społeczne ma jeszcze sprzed wojny. Była wtedy harcerką i członkinią Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej, grała też w amatorskim teatrze. — Po wojnie zgłosiłam się na opiekuna społecznego do komitetu walki z alkoholizmem. Teren mojego działania obejmował rejon grajewskich ulic 1 Maja i Kilińskiego. Starałam się nawiązać z nimi kontakt.

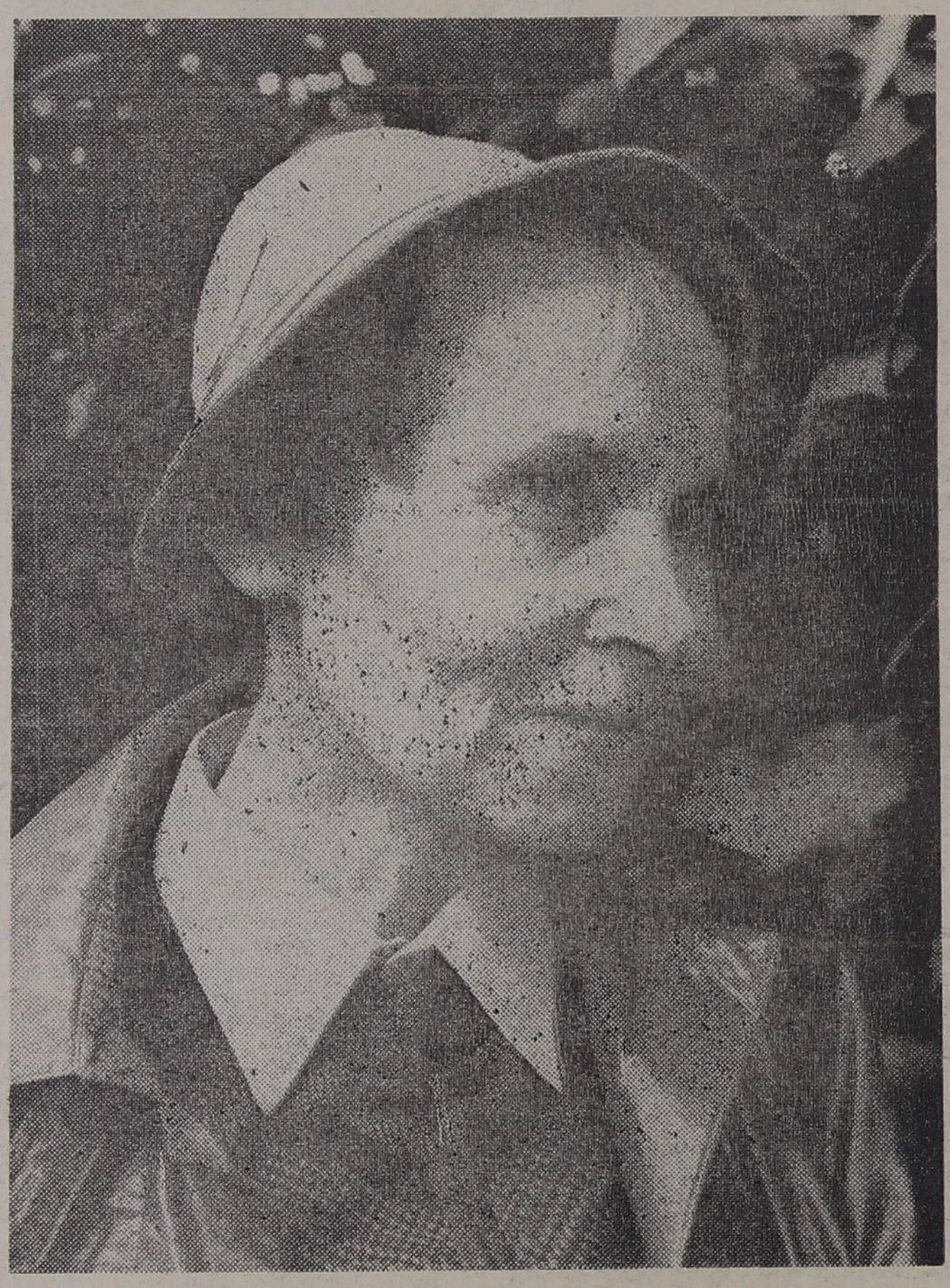

✡

Nie może już tyle czasu poświęcać domowi, rodzinie i pracy społecznej. Los jej nie oszczędził komplikacji życia osób bliskich. Wymagało to wielkiej równowagi ducha, cierpliwości, wielkoduszności, powierzenia wszystkich zmartwień Bogu, często z zaciśniętymi zębami i tłumionymi łzami. Pisze jednak nadal.

Tyle mam wspomnień i problemów
wspólnych nadziei, wspólnych
marzeń
więc po co miałabym — czemu —
unikać spisywania zdarzeń
językiem prostym, tym dla ludzi?

Pierwszy wiersz napisała w czasie wojny. Nie, nie zachował się. Ma tylko gdzieś w domowym archiwum początek jednego z nich, o Hitlerze. Potem była tematyka rodzinna.

Nie będę nowych form szukała
i słowa zamieniała w szyfry
w swe wiersze tchnę, gdy będę
chciała
czas teraźniejszy, przeszły
i przyszły [...].

— Pamiętam pewne zdarzenie, pierwszy duży wysiłek sprawdzenia siebie. Była wojna. Wywieziono nas młode dziewczęta „na roboty" do pewnego bauera. Jednego dnia odmówiłyśmy pracy. Dostałam po twarzy. Zareagowałam oskarżeniem faszystów o ciemiężenie narodu polskiego. Słyszała to jedna z Niemek zarządzająca gospodarstwem. Kazała nas zwolnić z pracy. Wróciłyśmy do domu.

Jeśli zechcemy polecimy
do gwiazd w przestworza wolni
ludzie
wolni na ciele i na duchu
nie poddający się obłudzie

— W moim ogrodzie, tuż za domem, stoi szopa. W czerwcu zeszłego roku zadomowili się tam alkoholicy. Było ich wielu. Zapytali, czy mogą się tam spotykać i nocować. Pozwoliłam. Nigdy nikogo z domowników nie zaczepili, nigdy nic nie zginęło z domu ani z podwórza. Dawałam im leki witaminę B1. Zwierzali się ze swego powikłanego życia. Pili denaturat. Chciałam zapewnić im opiekę lekarską, zgłosiłam w komitecie przeciwalkoholowym. Nie było odzewu przez trzy miesiące. We wrześniu pojawiła się milicja. Biła ich pałkami. Przepędziła. Mieli mi za złe, że pozwoliłam tym ludziom na przebywanie w szopie. Poszłam do komitetu partii powiedziałam o incydencie, o biciu pałkami. Powitała mnie pani sekretarka słowami: „Partia jest od kierowania, nie od pomocy". Byłam dobrowolnie nie pierwszy raz w komitecie. Ale ostatni.

Syn Apoloniusz Bogumił, jest również poetą, polonistą. Młodszy miał dwadzieścia kilka lat jak zmarł tragicznie.

Przemknąłeś jak meteor
nad tą trudną ziemią
więc jakże Ci było
wejść w nią korzeniami
A ja Tobie w życiu
tworzyłam bajkę złudną
— i teraz pragnę tylko
byś kiedyś był z nami

— Dzieciom swym powiedziałam: nie marzę dla was o stanowiskach, bogactwie — pragnę jedynie byście byli uczciwymi ludźmi.

— Buntując się przeciwko niegodziwości i zakłamaniu staram się mobilizować innych do walki ze złem.

Próbowała wciągnąć w życie kulturalne miejscową „młodzież z ulicy". Skupiła ich wokół siebie w klubie „Ruchu". Ówczesna dyrektorka grajewskiego oddziału tej placówki przerwała tę działalność, gdyż nie miała na to — jak powiedziała — zgody komitetu partii.

✡

— Moimi tekstami zainteresował się Piotr Skrzynecki z „Piwnicy pod Baranami". Zapraszał mnie na konsutacje Jan Kulka z łomżyńskiego Klubu Poetów i Wiesław Kazanecki z Białegostoku. Nadal nie mam śmiałości przedstawiania tych utworów ludziom piszącym, a poza tym choroba i kłopoty domowo-rodzinne zdominowały moją psychikę prawie bez reszty.

✡

Przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy obszarem jej działań są długie kolejki przed sklepami monopolowymi. Pyta ludzi o sens picia, sugeruje święta na trzeźwo, podpowiada, by pieniądze zamiast na alkohol przeznaczać na cele charytatywne. Ludzie w kolejce zwykle milczą. Po jej odejściu wielu wzrusza ramionami, pytając się nawzajem — Co ona ma z tego?

Więc stale wołam. Ratujmy Braci!
Bo co za wartość życia naszego
jeśli się człowiek w pieniądz bogaci
a nie żałuje swego bliźniego.

✡

— Zawsze chciałam być poetką ludową, jak moja ciotka, Maria Zubrzycka z okolic Wilna.

✡

Dużo czyta; literatura piękna, psychologia, medycyna, prawo. Mówi piękną, poprawną polszczyzną. Nauczyła się alfabetu Braille'a, chciała pracować z niewidomymi, los zmodyfikował te plany. Ma średnie wykształcenie. Urodziła się w 1919 roku w Tule (ZSRR). Od 1921 roku związana życiem z ziemią grajewską.

Wszystko przemija na świecie
Bożym,
lecz czyny nasze nigdy nie zginą;
Więc się musimy wciąż starać o to,
by dobrze czynić — i z tego słynąć!

— Moją osobowość kształtowało obcowanie od dziecka z ludzką krzywdą. Już wtedy chciałam zmienić świat. Bardzo gorąco modliłam się o lepsze życie na ziemi dla wszystkich ludzi. Nie mogłam znieść szerzącego się wokół zła. Zamykałam się w sobie, chciałam wstąpić do klasztoru. Potem zrozumiałam, że przeciwko złu trzeba zająć postawę czynną; ratować ludzi od siebie samych.

✡

Na pierwszej stronie zeszytu z wierszami napisała własne motto: *„Życie nasze jest warte tyle, ile możemy w nim pomóc innym"*.

Wnuczuś Mariusz, który w tym roku poszedł do pierwszej klasy, niedawno oświadczył: — Babciu, chcę Ci pomagać, pozwól... i zacytował dosłownie motto.

Fot. GABOR LÖRINCZY

za kartkową kurtyną

Trzeba było starań wielu pokoleń homo sapiens, abyśmy mogli korzystać z dobrodziejstw „życia na kartki". Jeśli komuś z powodu kartek ciśnie się na usta przekleństwo, to niech przeklina wynalazców papieru i druku oraz twórców doskonałej poligrafii, nadążającej z powielaniem milionów bonów na dobra konsumpcyjne, oprócz druku różnych programów i czasopism, bo książki stanowią produkcję marginalną. Maszyny bezużytecznie stać nie mogą. Książki zainteresowania nie wzbudzają bo inny wynalazek, wszechwiedząca i najlepiej poinformowana telewizja odzwyczaiła ludzi od czytania. Kiedy zresztą czytać, skoro czas trzeba spędzać w kolejkach. W kolejce najwygodniej czyta się gazetę, chociażby „Rzeczywistość". Jest to fakt oczywisty, więc niech nikt mnie nie posądza o złośliwość, bo rzeczywistość jest taka jaka jest, a zrządzenia losu trzeba przyjmować z pogodą ducha.

Kartki nie powinny źle wpływać na nasze samopoczucie, bo raz, że likwidują kolejki, a dwa — są wesołe, kolorowe i o różnych rozmiarach. Jeśli czegoś na kartki nabyć nie możemy, to przecież nie wina kartek, bo one są, tylko tych, to towaru nie dowieźli. Psioczymy więc na konwojentów lub sprzedawczynie chowające towar po kątach. Kartki nie są również mniejszym złem, jak twierdzą niektórzy, lecz złem koniecznym na drodze rozwoju społeczeństw. Zanim wprowadzono je u nas, wypróbowała je przecież kilkadziesiąt lat temu cała prawie Europa, a ponieważ gonimy kraje wysoko rozwinięte, jest rzeczą normalną, że przyszła kolej i na nas. Moje pokolenie z opowiadań starszych wie, że w naszym kraju też były próby reglamentacji i wypadły pomyślnie, bo wtedy, gdy były kartki była i rąbanka. Potem reglamentację zlikwidowano. Wracanie do tego, co dobre, jest koniecznością. A że kartki to dobrodziejstwo łatwo udowodnić. Weźmy chociażby kartki na papierosy i wódkę. Obecna za nie cena 1500 złotych nie jest wygórowana. Nie trzeba być magistrem matematyki, żeby wyliczyć, po uwzględnieniu ostatniej korekty dwa odcinki „W" za pół litra, że butelka wychodzi po pięćset z grosz-

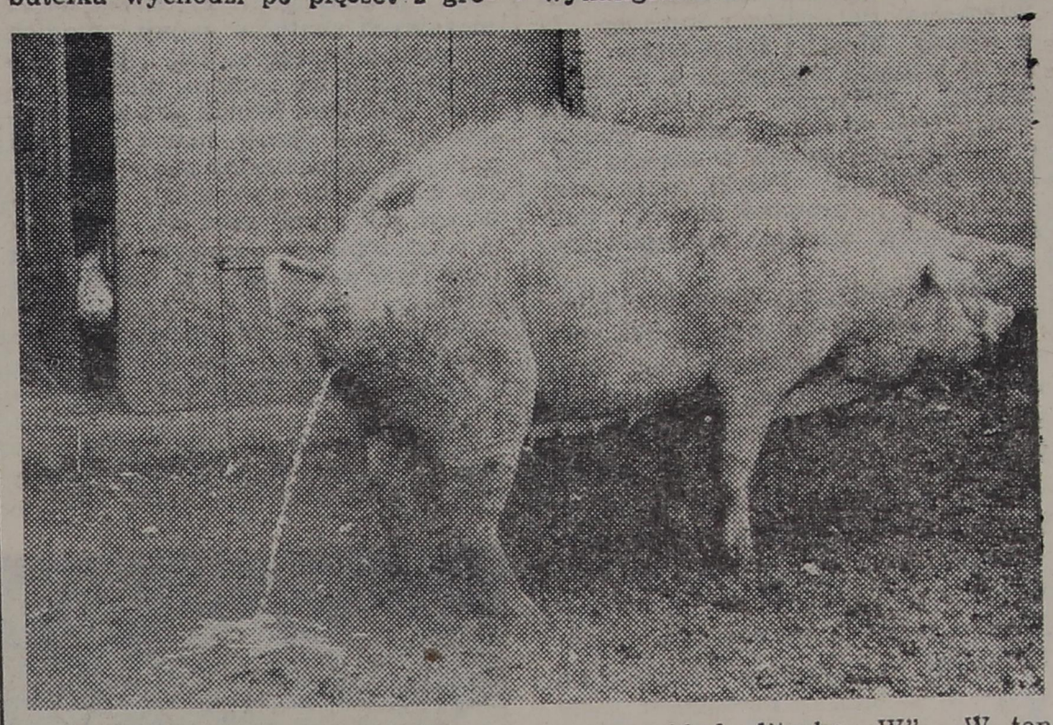

szami, podczas gdy „na mecie" kosztuje siedemset, a wszystko wskazuje na to, że dojdzie do tysiąca. Dodatkową korzyścią wynikającą z nabycia kartki są kuponiki z nadruczkiem „P", za które nabywamy papierosy, nawet „Vega" po 50 złotych paczka. Wymienić je możemy na przykład na proszek do prania, szampon, mydło czy chociażby pastę do zębów, bo sól warzona jest miałka i do mycia zębów się nie nadaje (osobiście polecam kamienną, po umyciu którą dziąsła nabierają naturalnego zabarwienia), a kredy szkolnej ostatnio brak. Możliwości jest dużo więcej, wszystko zależy jednak od naszej pomysłowości. Ponadto w lewym górnym rogu kartki jest czysty odcinek, który stanowi zapewne niespodziankę. Co niecierpliwsi, którzy umieją posługiwać się przyborami kreślarskimi, nie czekając na niespodziankę mogą na tym czystym odcinku wykaligrafować marnym tuszem na przykład literkę „W". W ten sposób nabierają uprawnień do zakupu słodkości dla swoich pociech za całe 75 złotych. Można też pomóc sąsiadowi, i za kuponiki nabyć pół basa, a wtedy „góralu czy ci nie żal?"

Wychodząc z założenia, że w mąkę i kaszę zaopatrzyliśmy się przed reglamentacją, kartki na te artykuły wymieniamy na kartki cukrowe, bo ostatnio w sklepach można trafić na drożdże. Otwiera to przed nami nowe możliwości, bo zamiast kupować alkohol — możemy przypodobać się żonie, nabywając kawę (lub zrobić wielką uciechę swoim dzieciom, które zazdroszczą pociechom abstynenta spod siódmego, ćpającym bez opamiętania sucharki „Polo").

Jeśli kartki na wyroby zbiorowe nie wymienimy na kartki cukrowe, straty nie ma, jest natomiast zysk dla rodziny. Karteczki te możemy w piątek zaproponować kobiecie sprzedającej jajka na targu. Jeśli ma jajka, to ma i kury. A co jedzą kury, gdy nie ma paszy? No, właśnie kaszę, żeby znosić jajka, których nie ma w sklepach, bo kury się nie niosą. Więc ta kobieta, która ma jajka, to znaczy: nie ma jajek, tylko je sprzedaje po 20 zł za parę, chętnie weźmie od nas te kartki. I wilk syty, i owca cała, bo my nie mamy jajek, ona nie ma kaszy. A i finansowo jesteśmy do przodu, bo ile kosztują jajka, a ile kasza?

Jest też jeszcze inna możliwość (tych możliwości jest więcej, tylko trzeba pomyśleć): gdy uda nam się zamienić kartki zbożowe na kartki cukrowe. Jeśli mamy cukier, to nie potrzeba nam kartki na wódkę. Z kartką na wódkę idziemy do salonu ze sprzętem radiotechnicznym lub gospodarstwa domowego i kupujemy coś, czego w sklepie nie ma, bo pokażcie mi takiego, który oprze się magii kartki na wódkę. Tym sposobem możemy, na przykład na targu w Jedwabnem, wejść w kooperację z jakimś rolnikiem, który ma forsy jak lodu i nie ma na co jej wydawać, a jego córka dostała ostatnio mieszkanie i brakuje jej do szczęścia... (w miejsce kropek wstawić: lodówki, telewizora, odkurzacza, itp.)

Jak już mówiłem, trzeba myśleć! Zauważyliście chyba, że w 33 numerze tygodnika nie było diabłów? I co, myślicie, że Dojlidek i spółka wyjechali na wczasy? Kto tak myśli, jest w błędzie! Przecież oni znowu robią dobre interesy!

JANUSZ PORĘBSKI
Fot. GABOR LORINCZY

PRZYJACIELSKIE POGWARKI

droga Alusiu

Chociaż od miesiąca jestem ponownie w Łomży nie zdążyłam wcześniej do Ciebie napisać, bo wciąż działo się tu coś ważnego, a każdą wolną i słoneczną chwilę wykorzystywałam na buszowanie po okolicznych lasach. Grzybów — podobnie jak u was — zatrzęsienie. Słońce zdecydowanie przeszło na półetat. Powiało jesienią. Mam wrażenie, że większość łomżyniaków nawet tego nie zauważyła. Są tacy rozgorączkowani, podekscytowani. Nawet emeryci się eszowują. I radni. Wrześniowa sesja MRN-u od pierwszego punktu nabrała rozmachu i rumieńców. Interpelacje brzmiały jak salwy wojny brukowej: sześć razy strzelano pretensjami o krzywe krawężniki i dziurawe trotuary. Wprawdzie przetrzymano w ciszy referat, ale zaraz potem Wysoka Rada roztoczyła szeroką dyskusję. Były postulaty: „Należy wreszcie ugryźć temat rzeźni. Jak weszli tam konserwatorzy zabytków, to już niby nic nie można poradzić? Jak nie chcą wyjść to niech chociaż produkują konserwy"; wnioski: „Niech Sanepid porządnie kontroluje jakość artykułów spożywczych, a kosztami niepełnowartościowymi towarów obarcza producenta"; stwierdzenia ogólne: „W handlu też trzeba myśleć, a nie zasłaniać się jak ta przysłowiowa baletnica spódniczką. My wiemy, że nawet w namiocie można produkować wędliny i rodzić dzieci"; żale: „Nie ma dziś tak porywających haseł jak dawniejsze kto żyw do żniw" Były też kontrowersje: kiedy nazewnictwo ulic staje się sprawą polityczną oraz co zrobić z 19-stomilionowym deficytem ZKM-u. Ktoś proponował rozliczyć, wypytać jak do tego doszło, inny ktoś był zdania, że fakt jest faktem i to niepożądanym, więc należy go zlikwidować podnosząc ceny biletów za przejazd miejskim autobusem. Na to jedni się wzburzyli, że w Polsce bilety są po 1,50, a u nas po dwa złote i jeszcze do pięciu windować to niesłychane.

Drudzy wykazyli, że dotychczasowa cena jest bardzo niska, bo są tacy, co cały tydzień jeżdżą za jedno jajo. Nikt nie pomyślał jednak, żeby wprowadzić opłaty strefowe. Obecna na sali władza miejska i wojewódzka starała się posiąść jakieś ziarnko optymizmu. Pochwaliła się, że wszystkie potrzebujące dzieci zagarnięto do przedszkoli. (Skąd to się nagle znalazło?) Teraz węszą za jakąś ruderą na żłobek. Może udałoby się ją wyremontować przed zakończeniem budowy nowego. Notabene, jeszcze nie zaczętego choć inicjatywa rzemieślników już drugi rok czeka na podjęcie. Swoją drogą, to może dobrze byłoby trochę pozwlekać, bo teraz wchodzi moda na toksyczne żłobki i przedszkola, wzór drewnopodobny, typ C-40. Wprawdzie ładne i modne, ale zdrowie dzieci też ważne...

Wydaje mi się, że ktoś wpadnie na dobry koncept. Ostatnio bowiem roi się w Łomży od pomysłów. „Kontakty" rzuciły chwytliwe hasło „Nie dajmy się biedzie" i przejęli się nim nie tylko dziennikarze. Oficjalnie dołączają się na razie jedynie działacze ZSMP i Komitet Miejski PZPR, ale nieformalnie i okazjonalnie wielu innych. Fryzjerzy np stwierdzili, że chociaż nie dostają odpowiedniej ilości szamponów i muszą prywatnie błagać na publiczny użytek, nie przestaną myć aż do ostatniej kropli szamponu naszych brudnych głów. A gdy szampon skończy się definitywnie przejdą na „antka". „ewik" lub inny środek czyszczący.

Nasz prezydent miasta, Jerzy Newelski również nie daje się biedzie. Zmienił się też nie do poznania. Ongiś trudno dostępny, dziś przyjmuje interesantów w każdy poniedziałek, aż do ostatniego chętnego. W razie potrzeby rezygnuje nawet z dziennika telewizyjnego. W ogóle widzi wszystko, bywa wszędzie i przemawia z godną zazdrości swadą. Mówi, że lubi konkrety, ale jest chyba nietęgi w rachunkach. Wyliczył na przykład, że Łomżanie mogą zjeść 103 tony mięsa miesięcznie. Do sklepów poszło 150. Pomyślałbyś, że u nas mięcho gnije... Poniekąd prawda. Niedawno pod Wysokiem Mazowieckiem znaleziono 1000 kg świeżego rozrzuconego po polach mięsiwa, z tego gatunku, co ginie w drodze do sklepu. Ale wielu zachowuje kartki na rzecz przyszłej pamięci narodowej. Ja nawet lodówkę powierzyłam i zastanawiam się, jak ją przerobić na grzejnik elektryczny.

Ale wracając do prezydenta. Ma chyba obsesję liczenia, bo chleb też przeliczył i wyszło mu, że starczy 11—12 ton dziennie. Piekarze uparli się i pieką 18—24 ton i też czasem go nie starcza. Przed podwyżką można było zganiać na świnie a teraz?

Za tę jedną słabość nie można jednak całkiem prezydenta przekreślić. W ogóle jest to gość obrotny, z inicjatywy i genialnymi pomysłami. Wizytował ostatnio nieoficjalnie sąsiadów zza wojewódzkich opłotków i podglądał, jakimi sposobami ratują się w kryzysie. Prawdopodobnie nie wypadamy w porównaniu najgorzej. W niektórych asortymentach nawet korzystniej. Choćby w domenie nikotynowej. Gdy prezydent stwierdził, że za mało papierosów spływa na nasz rynek, ściągnął skądś machorkę. Ludzie zadowoleni, bo palą, a Newelski, bo podniesie wyniki pracy: przerwa w robocie na zrobienie skręta jest krótsza niż czas oczekiwania pod kioskami na dostawy. Nieoceniony gospodarz miasta cudownie prostym sposobem zlikwidował kilkutysięczną kolejkę po węgiel — zamiast osób oczekują nazwiska. Śmiało i szybko rozprawił się też z postulatem budowy rzeźni w Łomży. Argumentacja krótka: żeby zarżnąć trzy krowy tygodniowo nie trzeba rzeźni. Wystarczy dać cynk kilku wygłodzonym.

Jak się komuś dobrze układa, to zaraz ktoś chce mu podłożyć świnię. Newelskiemu też podłożyli, ale tylko prosiaczka. W „Gazecie Współczesnej" ukazała się informacja, że proszki do prania będą tylko w niektórych wytypowanych kioskach. Kioskarze natychmiast napadli na prezydenta, dlaczego tylko wybrańcom zapewni się wysokie obroty, a społeczeństwo oskarżyło go o głupie decyzje przedłużeniem kolejki. Zaskoczony szef miasta do tej pory szuka autora oświadczenia. Wydział Handlu się wyparł. Sądzę, że Newelski autora decyzji nie znajdzie, proszku nie będzie w żadnym kiosku, a kolejki wszędzie.

Od kilku dni prześladuje mnie myśl, że ogonki to konieczność, nawet wyższa. W tych niepewnych czasach, gdy obywatele korzystają z każdej wolnej chwili, by robić rzeczy głupie i nieodpowiedzialne, lepiej jest mieć wszystkich na oku. Idealnie temu celowi służą kolejki...

Alu, napisz mi, czy wyrobiłaś sobie jakąś ogonkową filozofię. A gdybyś w chwili zamyślenia lub roztargnienia wystała papeterię przyślij mi ją natychmiast, co zagwarantuje Ci ciągłość listów z Łomży od Twojej kochającej

Karoliny

dzisiejszy

dylemat - nadzieje i zwątpienia polski

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

następujący: przetrzymamy reorganizację podziału administracyjnego czy legniemy w jego biurokratycznym rozpasaniu.

Muszę tu dodać, że ideę tę oraz rozbudowę motoryzacji i elektroniki uważam za trzy szczęśliwe i pomyślne dokonania w latach siedemdziesiątych. Inna rzecz, że od początku rozdrobnienie kompetencji władzy wojewódzkiej uważałem za materialnie (w sensie zarówno substancji fizycznej jak i środków finansowych) nieprzygotowane, za to wyzwalające potężne energie w dziesiątkach tysięcy młodych ludzi dopuszczonych do sprawowania wysokiej, przynajmniej nominalnie, władzy. Myślę, że na to liczyli projektanci reformy i nie zawiedli się, podobnie jak na sankcjonowaniu w tej sytuacji nowowojewódzkiego partykularyzmu, co było niczym innym, jak dopuszczeniem do centralnej, stołecznej dystrybucji zsumowanego partykularza dawnych powiatów.

Cały ten zabieg, bardzo skutecznie, choć doraźnie odsunął „widmo sierpnia" (licentia poetica, bo początek takich remontów nie ma zwykle określonej z góry daty), ale zarazem — przez stworzenie znacznych, w porównaniu z sytuacją wcześniejszą, nowych skupisk pracowników przemysłowych (nowe inwestycje), administracyjnych (biura i urzędy) oraz inteligencji (rozbudowa służby zdrowia i oświaty) — zapewnił szansę powszechności o podobnym zasięgu krajowym tym wszystkim sprawom, które nadeszły i żywią nas zarówno nadzieją jak i troską

Trzecią jeszcze, niezbędną uwagę wstępną uczynić muszę, aby rozważania moje nie wydały się — powiedzmy to szczerze — megalomańskie. Zwykle, wywodząc jakieś tezy, szukamy potwierdzenia dla nich w obiektywizacji, odnajdujemy ich ślad w rozważaniach innych ludzi, cudze spostrzeżenia i opisy przytaczamy na dowód prawdy. Odwołujemy się także do wiedzy i doświadczeń czytelników bądź słuchaczy, do ich praktyki. Inaczej mówiąc, nie staramy się wysuwać na plan pierwszy własnych domniemań, spostrzeżeń, sądów, a jeśli taka sytuacja ma miejsce, czynimy to zwykle w sposób jak najmniej autorytatywny, apodyktyczny, lecz nie bez dania świadectwa czy zaznaczenia choćby naszego gruntownego przeświadczenia.

Muszę przyznać, że ta odmiana subiektywizmu, mającego na uwadze jego niebezpieczeństwa i pułapki, odpowiada mi bardzo i — co więcej — trudne niekiedy teksty czyni przystępniejszymi, jakby wyzwalając właściwości porządkujące, klasyfikujące w moim umyśle.

A więc zbiór dylematów polskich, naszych, moich. Chcę jednak, będę przynajmniej usiłował, mimo wcześniejszych zastrzeżeń, wskazać dylemat lub parę, duet dylematów generalnych, niechaj więc te mniej dobitne dzisiaj (co nie znaczy mniej ważne) potraktowane będą jako ich składowe i dla jasności opisu, choć nie poprawności rachunku logicznego, nazywał je będę kolejnymi alternatywami.

Pierwsza: alternatywa legendarności

Wszelka przeszłość ma tendencje do mityzowania się, czyli wyolbrzymiania ponad realną skalę pewnych swoich cech. W praktyce życiowej, której najodpowiedniejszym przejawem w kontaktach z następnym, młodszym pokoleniem jest rozmowa, odpowiadanie, wspomnienia, skłonność ta owocuje zbiorem legend (i baśni rzecz jasna, te jednak, jako wytwór z gruntu nieracjonalny — odrzucamy) kształtujących, mówiąc najogólniej, mentalność społeczeństwa, narodu. Na ogół ów zbiór ma w życiu bieżącym udział podobny do wątku w tkaninie (tu zauważmy, że w bardzo starych materiach wątek lub jego fragmenty trzeba restaurować, a niekiedy nawet wymieniać na zupełnie nowe).

Powojenne dziesięciolecie mocno naruszyło potargany przecież wątek naszej, mniej lub bardziej, legendarnej tradycji narodowej. Pod koniec pierwszego pięciolecia dokonano podziału na nici dobre i złe Tych drugich było, zdaniem klasyfikatorów, o wiele więcej i należało je wymienić na nowe. Pod ręką, co prawda, nie było żadnych nici, ale znajdowały się one w przyszłości. Są bowiem pewne jej rodzaje, które mają, podobną przeszłości, zdolność mitotwórczą. Początkowo zapisano ją w ideach utopii i falansterów, nie mniej kusząco wyglądała w pragmatycznej doktrynie kariery pana Forda (tego od samochodów). Podobnie w będącej prawie w zasięgu jednego pokolenia Polski, szczęśliwej równością i sprawiedliwością Polski, z marzeń młodych zetempowców.

Obie legendy, przedwojennej przeszłości i niedalekiej przyszłości, podzieliły nasze społeczeństwo, dramatycznie przecinając przyjacielskie kręgi, grupy zawodowe, a nawet najbliższych w rodzinach. Rys tragiczny pojawił się z chwilą, gdy druga legenda uzyskała możliwość represjonowania pierwszej w celu jej zlikwidowania. Opamiętanie przyniosły dopiero strzały i krew na ulicy Józefa Stalina w Poznaniu. Zakończył się okres deportacji z przeszłości. Źle tylko, że tak wielu Polaków musiało wyemigrować z niej, a nie bardzo mieli dokąd, choć Październik pokazał, jak wielu z nich opowiedziało się za socjalizmem. Nie mityczną krainą bezkonfliktowej (nieludzkiej — chciało by się powiedzieć) szczęśliwości, ale za tym porządkiem społecznym i politycznym, który jest logicznym wynikiem rozwoju ekonomicznego i duchowego współczesnych społeczeństw europejskiej cywilizacji. Wtedy, jesienią 1956 roku, dokonała się, moim zdaniem, bezzbrojna rewolucja socjalistyczna w Polsce

Druga: alternatywa poczucia cudzości

Zacznę od powiedzenia, którego śmieszności, w czasach kiedy było powtarzane, ani rusz nie mogłem pojąć: jaka jest nowa wersja pieśni „Wszystko co nasze..."? — Co twoje, to moje, a mojego nie rusz — odpowiadano. I dzisiaj, przyznaję, mało to śmieszne Właściwie wcale. Wtedy jednak, więcej niż przed ćwierć wiekiem, wyrażało niewiarę w powodzenie realizacji wspólnot posiadania i wytwarzania. Jednego nie kwestionowało — wspólnoty odbierania, otrzymywania. I do dziś nic właściwie nie zmieniło się w tej mierze. No, może tylko to, że także wspólnota posiadania, nawet w sloganowym myśleniu stała się pojęciem martwym. I to co miało być wspólne, nie jest już nawet niczyje, stało się państwowe czyli cudze

Zanim jednak to wyobcowanie dotknęło prawie wszystkie fundamentalne składniki naszej wspólnoty, dokonywało się na terenach zdobytych w najczystszej formie walki klasowej i wyzwoleńczej jako spełnienie społecznej i historycznej sprawiedliwości. Myślę tu przede wszystkim o okolicznościach i sposobie „spożytkowania" reformy rolnej, likwidacji sektora prywatnego w rzemiośle i drobnym przemyśle, a także o skutkach wejścia w posiadanie Ziem Odzyskanych i wywołanego tym faktem exodusu z terenów należących do II Rzeczypospolitej. W każdym z wymienionych miejsc ludzie znajdowali się na terenie zdobytym, przez pewien czas nie wiadomo na jak długo, co rodziło poczucie tymczasowości i wszelakie związane z nim odruchy. Oczywiste, że wiele usprawiedliwiają trudności czasu odbudowy i prawdziwej, rzetelnej walki o utrzymanie przy życiu nowego porządku społecznego, ale nie wszystko można tym tłumaczyć.

Właśnie w owym pierwszym dziesięcioleciu popełnione zostały błędy, które Polskę i polski socjalizm zaprowadziły dzisiaj na skraj przepaści. Chcę być dobrze rozumiany: innego, dobrego kierunku nie było, ale nad wyborem drogi najpierw nie pozwolono nam pomyśleć, a później nabraliśmy nawyku lekceważenia tej sprawy; tak, jakby ktoś inny miał obowiązek tę drogę wskazać i wymościć, albo jakbyśmy to nie my mieli nią iść.

Wracam do pokazania obu stron alternatywy powstawania cudzości. Nie podnosząc tu psychicznych i moralnych skutków wojny, długich lat powojennnego szoku, jako nie poddających się opisowi; niewyrażalnych, zakładam jednak pewną świadomość tych spraw, nawet u ludzi mniej niż trzydziestoletnich. Wystarczy więc chyba wyobraźni, aby zobaczyć jak z upływem lat, pięcioleci rozszczepia się najpierw widzenie i praktykowanie życia w budującym socjalizm państwie, a potem jak polaryzuje się w niebezpieczną już nie tylko dla ustroju, ale dla samego człowieczeństwa dwoistość.

Wydziedziczeni z poprzedniego podłoża i wyposażenia życiowego ludzie otrzymali w zamian coś podobnego,

ale tylko niby otrzymali, bo prawnie mogą zostać tego pozbawieni zanim jeszcze psychicznie wzięli to w posiadanie. Odnosiło się to zarówno do reformy rolnej wypaczonej i przekreślonej przez próbę przymusowej kolektywizacji, jak i efektów osadnictwa i przesiedlania na ziemie odzyskane. Roztrwoniliśmy znaczną część ogromnego ładunku politycznego i patriotycznego, jaki wyzwoliły te historyczne wydarzenia

Wielostopniowa gradacja wartości przywrócona w 1956 roku naszemu życiu politycznemu i kulturalnemu (do którego zaliczam także sferę religii), już na początku lat sześćdziesiątych poczęła niebezpiecznie rozmijać się z rygorami ekonomicznymi. Powróciły nieszczęsne tematy i liczby tabu. Coraz więcej ważnych społecznie dziedzin, budujących poczucie „bycia u siebie", współodpowiedzialności za to wszystko co nazywa się Polską, odsuwanych było z pola widzenia i słyszenia obywateli.

Tym samym twórcy i wykonawcy tej doktryny wzięli na siebie odpowiedzialność za losy i warunki bytowania społeczeństwa, tym samym przeforsowali jakby koncepcja, że władza, czyli rząd pod kierunkiem partii bierze naród na utrzymanie. Taki swoisty, polski patriarchalny socjalizm. I choć ojciec był poczciwy i surowy, niewiele dobrego z tego wyszło. Poczciwość okazała się anachroniczna już nie wobec świata, ale nawet na miejscu, u nas w domu, zaś surowość objawiała się umiłowaniem zasad i maszyn prostych, nieskomplikowanego myślenia u społeczeństwa oraz zdecydowanym preferowaniem pracy fizycznej przed umysłową.

Ten program coraz krótszych kroków nie mógł budzić szczerego aplauzu, rodził więc w części społeczeństwa beżideową, pragmatyczną dwulicowość. Niebezpiecznie uprościł się stosunek do dóbr materialnych: istniało jeszcze moje i twoje, nasze i wasze zaczynało się wymykać rozróżnieniu, natomiast państwowe było już niczyje i zaczynało przybierać cechy cudzego, społeczne przestało kwilić.

W atmosferze tamtych lat pojawiło się jeszcze jedno — próby nastawienia społeczeństwa przeciwko inteligencji, mówiąc prosto — fizycznych przeciw umysłowym. Ale to dopiero u schyłku lat sześćdziesiątych „zaowocowało" marcowym apogeum, którego skutki poznałem i ja na własnej skórze i we własnej kartotece

Jednak prawdziwie dramatyczną alternatywą tych lat było narastające, nie tylko wśród inteligencji, poczucie spłaszczania wszelkich wartości, niemożności porozumienia się co do niezbędnych zmian w doktrynie i praktyce kierowania społeczeństwem. Rosło odrętwiające podejrzenie, że oto grozi nam życie w aurze cudzości, nieszczerości

Było to tym bardziej dojmujące, że przecież do połowy lat sześćdziesiątych przeżywaliśmy prawdziwy renesans społeczny, głównie intelektualny i artystyczny, początkowo zarówno pewien optymizm gospodarczy. Do partii szukali drogi ludzie następnego pokolenia, zróżnicowani zawodowo, lecz ożywieni jednoczą-

cym przekonaniem, że właśnie w PZPR mogą najlepiej „robić" Polskę i socjalizm, że ich działalność ulepszy także samą partię, zapobiegnie błędom w kierowaniu nią i państwem (trzeba w tym miejscu wspomnieć o pięknej karcie Związku Młodzieży Wiejskiej w owych latach).

Tak się jednak nie stało. Nie zyskał społecznego rezonansu drugi człon alternatywy, którym dla poczucia narastającej sztuczności, nieprawdziwości, cudzości życia mogło być zanegowanie socjalizmu. Nie, negacja dotyczyła wynaturzenia socjalizmu.

Trzecia: alternatywa dodatkowej siły, jak się zdaje fałszywa

Jesteśmy zmęczeni. Niedostatkiem, brakiem perspektyw, skłóceniem wzajemnym, niepewnością wszelkich ustaleń. Nic więc dziwnego, że ludzie zaczynają wzdychać: c z y w r e s z c i e k t o ś p r z y j d z i e i z r o b i p o r z ą d e k? Pytają więc sa-

mych siebie i nawzajem o trzecią siłę. Jeśli spytać ich z kolei o to, jak wyobrażają sobie tę trzecią, większość upatruje jej na zewnątrz, w mniejszości natomiast są ci, którzy wskazują na jej istnienie wewnątrz kraju, choć jedni i drudzy widzą tę siłę umundurowaną.

Dziwi mnie jednomyślność rodaków i trwoży brak wyobraźni w tej minorowej zgodności. Znowu łatwizna. Znów ktoś za nas ma wykonać brzydką robotę? Kaprawa to ironia, wiem, ale uprawniona, bo sparszywieliśmy przez ostatnie lata prawie do ena.

Najpierw jako społeczność Utraciliśmy w zupełności, nie posiadaną nigdy w nadmiarze, umiejętność dostosowania się do trudniejszych warunków bytowania przez rezygnację (a nie kombinację).

Utrwaliliśmy, prawem kaduka, niemądre przekonanie, że państwo to nie my (nie jest tu argumentem dość silnym fakt, że często i długo państwo czyli tzw. władze nie potwierdzała koniunkcji ze społeczeństwem) oraz zdumiewające przeświadczenie, że naszą władzą jest tylko ta, która jest dla nas, zaś nie jest naszą taka, która chce być jednocześnie nad nami.

Od pewnego czasu, w imię egalitycznej równości, podsuwanej nam w latach siedemdziesiątych jako motywacja działania, zaczęliśmy sabotować wszyscy wszystkich, w każdym przejawie aktywności i posiadania (ostatnio nawet jakichkolwiek zasad w najgorszym rozumieniu tego słowa), czego rezultatem stała się manifestowana bierność różnych odcieni, która prowadzi do paroksyzmów najróżniejszych, niekontrolowanych odruchów.

Parszywiejemy również jako nacja. Nigdy jeszcze chyba (mam na myśli współczesność) nie „osiągnęliśmy" tak niskiego pułapu prestiżu narodowego jak dzisiaj, i tak głęboko ambiwalentnego. Z jednej strony, najwyższej próby zryw ideowego odnowienia i udoskonalenia warunków istnienia narodu, z drugiej — biały murzyn Ameryki i pijany żebrak Europy (choć od kilku miesięcy pijany w sposób reglamentowany).

Brak welocypedzistów, na których całą można by zrzucić odpowiedzialność za całe zło (czemu welocypedzistów? — a co to czy my antysemici?), zaś Cyganie, vide Konin, sprawy nie załatwiają, więc szczerzymy zęby na siebie i już wkrótce zapewne doświadczymy polskiej odmiany linczu.

Wreszcie sprawa mniej wybijająca się we wrzawie sprzecznych głosów, czy też raczej coraz bardziej przykrywana, ginąca z oczu, mianowicie zawężanie się fundamentu poczucia narodowej tożsamości od kilku politycznych odruchów (na ogół przez negowanie) i religijnych demonstracji (tu niektóre o charakterze afirmacyjnym). A to, niestety, spłyca każde myślenie, czyniąc je ortodoksyjnym, oddalając nas od możliwości porozumienia się w dyskusji. Obawiam się, że już wkrótce zapomnimy nawet najprostsze sposoby komunikowania się w sprawach o poziomie wyższym od zapewniającego wegetację.

Trapią mnie także pewne, dość zróżnicowane w stopniu retoryczności pytania. Może pozwolą sformułować alternatywę czasu teraźniejszego? Oto one:

— Czy wielu z nas zrezygnowałoby w 1974 roku, częściowo choćby, z konsumowania niektórych „dóbr dobrobytu", nawet gdybyśmy wiedzieli, że to „raj" na kredyt, za tak wielkie, pożyczone dolary?

— Co właściwie oznacza powtarzane z prawa i lewa (lub — jak kto woli — z zachodu i wschodu) zdanie, że „Polacy sami muszą rozwiązać swoje problemy"? Czy jest to zapewnienie, czy bardziej rada? A może przestroga?

Czas, który w trwaniu państw i narodów przekształca się w historię nie jest przecież rezerwuarem, magazynem, wytwórcą dróg rozwoju, wariantów, rozwiązań dylamatów; skąd więc, żywione przez tak wielu z nas przeświadczenie, że od historii coś nam się należy (a nie akurat przeciwnie)? Tak jak od dyrekcji zakładu pracy, albo od wojewody czy rządu.

Czy „Polacy wybić się mogą" na zachowanie tego, co posiadają? Dlaczego zapominamy, że i świat, i Europa żyć może bez Polski, nawet bez Polaków. Warto też pamiętać, że w XX wieku nie zdobyliśmy sobie, ani jako naród ani jako państwo, zbyt wielu przyjaciół. A jeśli już, to dopraszając się tego (jak u Francji i Wielkiej Brytanii w latach trzydziestych i na początku czterdziestych) i opłacając to daniną krwi. Jeśli więc teraz doszliśmy do tego, że część warunków pewnych przyjaźni mogliśmy zaproponować sami, czy koniecznie musimy tę grę zakończyć bankructwem?

I mnie marzyłaby się jakaś siła zewnętrzna, która obroniłaby nas przed nami samymi, jakiś deus ex machina rozwiązujący naszą sytuację. Nasz dramat (bardzo już bliski tragedii) nie dzieje się jednak na scenie antycznej. Widzieć musimy przyczyny, objawy i epidemię skutków wielkiej awarii, jakiej ulegliśmy.

Jesteśmy bacznie obserwowani z zewnątrz i płyną stamtąd różne diagnozy i recepty. Niektórzy, o dziwo, ci, do których manifestuje się u nas dość często uczucia przeciwne przyjaznym, oni właśnie pomagają nam zmieniać kompresy na najbardziej obolałych miejscach. Wkrótce może nie być i tego.

Czy wśród tych stwierdzeń i pytań kryje się jakaś alternatywa? Myślę że tak, ale żaden z jej członków nie zawiera trzeciej siły, rozumianej jako interwencja wojskowa z zewnątrz czy od wewnątrz. Nie stoimy też wobec wyboru między cywilnym terrorem, a anarchią dwuwładzy. Alternatywa brzmi, moim zdaniem, mniej fatalistycznie, choć sięga ostateczności: s o c j a l i s t y c z n a o d n o w a albo n i e b y t.

A polski dylemat, dylematy? Widzę dwa.

Jeden muszą rozwiązać wspólnie wszyscy ci, którzy skupiają w swoich rękach jakiekolwiek przywództwo, polityczne, religijne, zawodowe, naukowe czy artystyczne. Oni muszą we współdziałaniu wyzwolić RUCH INICJATYWY SPOŁECZNEJ, wskazać cele, które zdolne będą wywołać w naszym społeczeństwie zgodę w podstawowym kierunku działania, skierować jego siły do odbudowy swojego państwa.

Drugi dylemat widzę przed PZPR. Musi ona, obok odzyskania zdecydowanie akceptowanej przez społeczeństwo roli przewodniej, znaleźć i utrwalić takie drogi i sposoby oddziaływania się, które nie postawią jej w opozycji do żadnej z klas społecznych, części społeczeństwa czy narodu. Możliwe to jest tylko wtedy, kiedy partia stanowi siłę nie tylko polityczną, ale również moralną i intelektualną.

Fot. JÓZEF LIEBERSBACH

spięcia

Na ostatniej sesji rady miejskiej w Łomży największą tęsknotę do chichotu wykazał kierownik Wydziału Handlu UM, Kazimierz Grelloch, zapamiętale czytając polskie komiksy w czasie interpelacji radnych. Zarzuty zebranych pod adresem handlu kierownika Grelocha już nie śmieszą. Rozumiemy pański problem: żeby śmiać się jak głupi do sera, trzeba mieć przecież w handlu ser.

*

Jeżeli otoczenie Dębu Wolności (łomżyński park przy ulicy Świerczewskiego), do opieki nad którym przyznaje się Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej ma być miernikiem tej przyjaźni, to jest ona co najmniej nieczysta.

*

Gdy całonocna kolejka rolników doczekała się rannego otwarcia magazynu geesu w Wysokiem Maz., jego prezes oświadczył klientom, że węgla nie ma, bo nie było dostawy. Miejscowa „Solidarność" wiejska fakt sprawdziła i znalazła 200 ton węgla z geesu u właściciela jednej ze szklarni. No, to teraz będzie komuś gorąco!

*

Na ulicy Świerczewskiego w Łomży ustawiono gablotowe ramy. Przez nieopatrzność zdradził się jeden z właścicieli, umieszczając na jednej z nich wizytówkę „it". Godzimy się na długoletnią pustkę w ramach. Zostaje pytanie: w ramach czego?

*

Drużyna piłkarska z Nowogrodu, nazwana kiedyś przez dowcipnisia „Okowitą", pozbyła się ostatnio, bez entuzjazmu, dwóch swoich najlepszych graczy, otrzymując w zamian za ich wyszkolenie: siedem koszulek, trzy pary butów, trzy getry, kilka spodenek i obietnicę, że najbliższy międzypaństwowy mecz odbędzie się na stadionie w Nowogrodzie. Zadowolone są obie strony.

*

Cena butelki „Złotej Rosy" wzrosła z 4 do 6 złotych. Ponieważ nie zdrożał „Rosavit", z którego „Złota Rosa" jest produkowana, przekonywującym uzasadnieniem podwyżki jest rosnąca cena złota.

Z kolei zielony groszek w punktach sprzedaży z 21 złotych podskoczył do 32, chociaż oficjalnie podwyżki cen nie było. Nowa etykietka sugeruje, że groszek jest niekalibrowany. I jak tu strzelać nim do producenta?

*

Pracownik magazynu geesu w Nurze odmówił rolnikom sprzedaży 30 ton paszy, ponieważ nie otrzymał przepisów, jak ma wyglądać ceremoniał sprzedaży. W rezultacie pasza przeterminowana. Aby uniknąć już niedomówień, pytamy na wszelki wypadek o przepisy... wiadomo jakiego kodeksu.

*

Antypaństwową działalność prowadzi łomżyńska instytucja układająca chodniki w Łomży. Sposób ułożenia trotuaru na ulicy Rządowej zmusza obywateli do potykania się na wyboistej drodze, co powoduje niewłaściwe skojarzenia u mniej odpowiedzialnych jednostek.

*

Urząd Wojewódzki w Łomży — postanowił w końcu po latach entuzjazmu — podejść do spraw kultury i sztuki w Łomżyńskiem na chłodno, wstrzymując dostawę opału do Klubów Rolnika i wiejskich świetlic. Radzimy, by wyłączyć również prąd elektryczny i zastąpić go którymś z prądów artystycznych.

igraszki z elementem

Ilekroć łomżyński padół skwierczy nazbyt głośno — bo w sklepach brak już nawet braków — handel wykonuje ruch pozorowany w rodzaju: „Przepraszamy inwentaryzacja" (co jest do spisywania? Chyba tylko ekspedientki!), „Przepraszamy remont"; w mieszkaniu brak wody, więc elementy odpowiedzialne doradzają łapanie deszczówki. Jak tak codzienność łupie po krzyżu, moja ciotka niezmiennie kwituje narzekania: — Życie nie składa się z róż.. — i uprzedzając czepliwe pytanie: „no to z czego?" głosi dumnie: — ...a z elementów!

Trudno nie przyznać racji, bo człowiek wciąż się potyka o jakiś element Nieocenionym ich bogactwem — czego doświadczyła moja ciotka skręciwszy sobie na nich nogę — są wznoszone osiedla. Do czasu. Kryzys opanował i to terytorium. Pod plantującą teren spycharką-koparką zaczęły one znikać w szybkim tempie. Bo ziemiopłodność jest mniej więcej taka sama jak materiałochłonność naszego budownictwa — ponad wszelkie marnotrawstwo Ciotka skonstatowała, że b u d u j ą c y ten element budowlany to nie jest. — Niech się pani nie martwi — orzekł zaprzyjaźniony z ciotką budowlaniec — nic w naturze nie zginie. Myśleliśmy o przyszłych archeologach, którzy muszą przecież mieć co odkopywać.

Pocieszające, że nie wszędzie elementy zepchnięto do podziemia. Na łomżyńskim poligonie budowlanym sterty pokruszonych płyt posplatane fantazyjnie — rzec można — drutem zbrojeniowym szarzeją już z oddali. Ponoć miał z nich powstać pomnik ku czci ubiegłorocznego sukcesu łomżyńskich budowlanych — najwięcej oddanych mieszkań bez możliwości poboru wody. Ale weszły do gry inne — jak mawia Wałęsa — elementy i stawianie pomników, świętowanie przeniosło się na zgoła nieplanowany obszar. W tej dziedzinie, jak dotąd, kryzysu nie widać. Wręcz przeciwnie, obserwujemy wzrastającą dynamikę. Jak ja dalej utrzymać? Ciotka znajduje wyjście z każdej sytuacji: — Trzeba powołać sztab a n t y k r e z u s o w y

Szczególną sposobność do przekręcania słów ciotka ma od dłuższego czasu. Na przykład z początkiem lata przybiegła przerażona, że oto na ulicach pojawił się w obfitości e k s t r e m e n t antysocjalistyczny — Chyba coś pokręciłaś? — powiadam.

— Ależ skąd! Widziałam wielu ludzi w bawełnianych koszulkach, na nich litery EA, a pod nimi ten napis.

— Antysocjalistyczny, zgoda! Tyle że nie ekstrement, a element, choć to podobnie brzmi. Nie taki znów ten element straszny, jak się maluje. Wystarczy, że przyjdzie zima — byle nie ostra, syberyjska — i poradzi sobie z każdą taką koszulką.

Ten element artystyczny zmienić łatwo, choć w ciągu lata oswoiliśmy się z nim. Natomiast trwałym elementem plastycznym są freski na dwóch budynkach przy ul. Armii Czerwonej. Ciotka powiada, że kiedy poczłapie tamtędy, obcowanie ze sztuką na długo zapewnia jej pogodę ducha. Z jednej strony pastelowa przeszłość, z drugiej piramidalne „bbb". To „bbb", w konkurencji ze stylizowanym kwiatuszkiem, wypada bardziej efektownie.

— Zastanów się — poucza — jaką intrygę niesie ta plastyczna wizja. Tu nie chodzi o opis, a o odpowiednik.

— Czy ma ciocia na myśli ten szeleszczący? Mogę ci powiedzieć, ile to kosztowało! — ucinam artystyczne dywagacje.

— Ty nigdzie nie dostrzegasz pozytywnych elementów. Ludzi bezinteresownych.

— Ejże! A w holu „Poloneza" pełni czasem dyżur — całkowicie społecznie — element uzbrojony w kolty produkcji „Prezycja" i gwiazdę szeryfa. Jak przystało na jednoosobowa siłę porządkową reaguje szybko i skutecznie. Wystarczy szepnąć: „Tam biją" i z miejsca zrywa się do interwencji. Najczęściej bywa to fałszywy alarm.

— Zapomniałaś, że hotel remontują. I twój jedyny pozytywny element stracił swoje miejsce.

— Wkrótce na pewno wróci!

A. ŚREDNICKA

refleksje

Wiedeński lunapark to prawie miasteczko. Można tu siedzieć dniami-tygodniami i nie starczy czasu skorzystać ze wszystkich pomysłów w rodzaju ogromnych diabelskich młynów wprawiających w oszołomienie ciało i zmysły.

Interesujące jest tu jednak co innego; diabły. Jest ich w lunaparku istne zatrzęsienie. Ogromnych rozmiarów kukły z potężnymi kłami, z mechanicznie poruszającymi się ogonami, wiedźmy, duchy, szkielety kościotrupów, różne potwory i poczwary — pełno tego na każdej uliczce i zakręcie lunaparku Specjalna kolejka wwozi chętnego za parę szylingów do mrocznej pieczary, gdzie straszą całe korowody duchów i wiedźm. Lunapark jest zabawą przede wszystkim dla dzieci, chociaż i dorośli bawią się tu niezgorzej.

PODGLĄDANIE ABSOLUTU

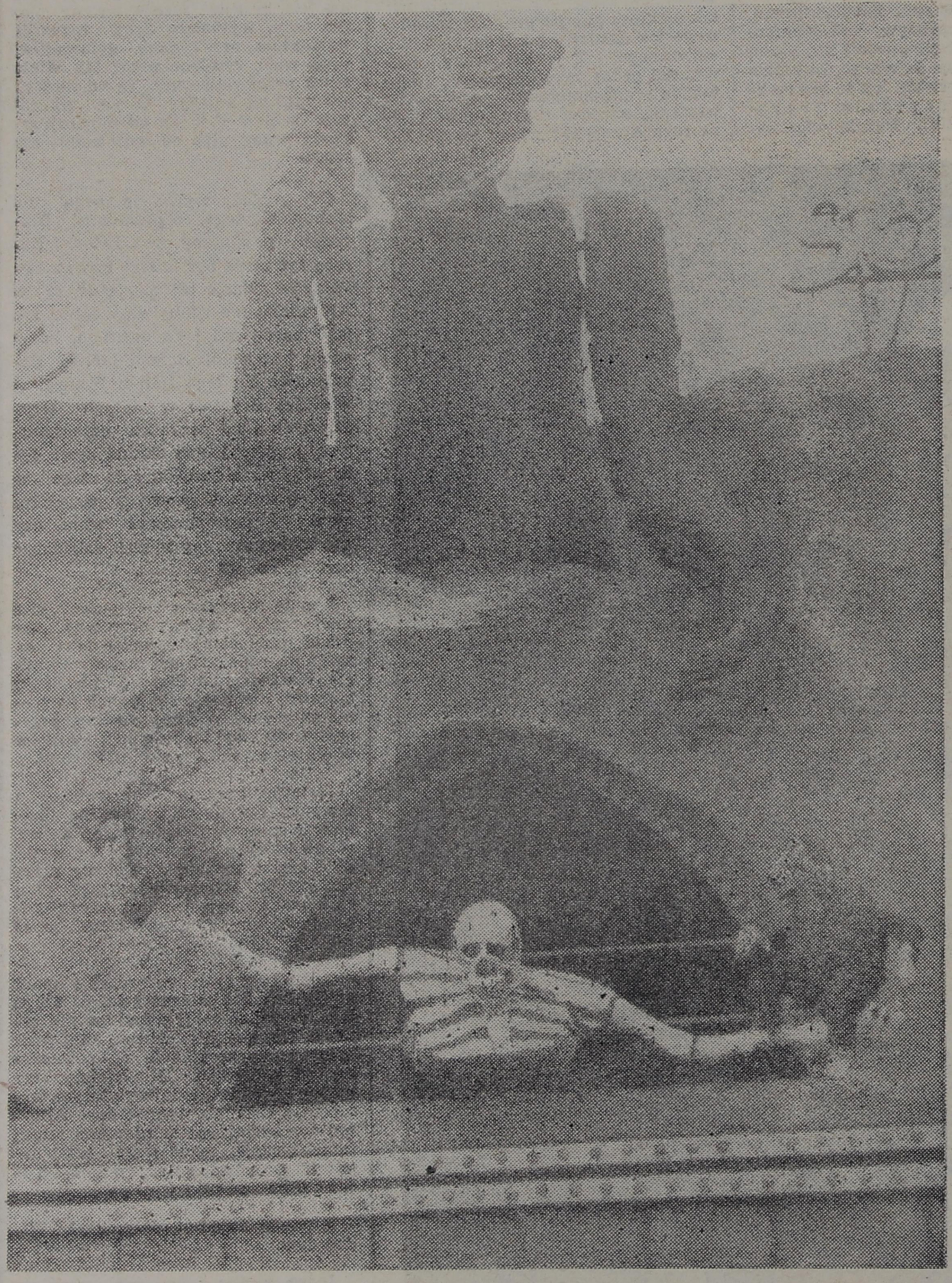

Piekły lubią dzieci

Korci mnie poteoretyzować. Dlaczego dzieci bawi w lunaparku diabeł, a nie dla przykładu anioł? Anioła tu nie uświadczysz za grosz. To chyba Kierkegaard zastanawiał się filozoficznie, dlaczego ludzie z taką rozkoszą oglądają zamknięte w klatce krokodyle, węże boa i pytony, skorpiony i inne maszkary. Ale równie dobrze można zapytać, dlaczego ludzie lubią czytać powieści wojenne, oglądać filmy grozy, brać udział w niebezpiecznych wyścigach samochodowych itp. Dlaczego więc cieszy nas krokodyl w klatce? Krokodyl jest obrzydliwy i niebezpieczny; zamknięty w klatce niczym nam zagrozić nie może, choć jest tym samym obrzydliwym, niebezpiecznym krokodylem. Możemy na niego nawet syknąć groźnie, splunąć, dotknąć patykiem. A fe! Krokodyl szczerzy zęby, a nam nic. Cały nasz lęk przed dziką bestią został ujarzmiony, obezwładniony, miota się oto po klatce i nic nam zrobić nie może.

Absolutnym wcieleniem zła jest jednak, jak wiadomo, nie krokodyl, a diabeł. Dla małych dzieci jest nim Baba Jaga. Jest to zło totalne, sama jego „istotność". Dlaczego na świecie musi istnieć zło, dlaczego obok Boga musi istnieć diabeł? Wyjaśnienie zawarte jest w odwiecznych mitach różnych ludów, w długiej refleksji filozoficznej zarówno Zachodu jak i Wschodu, a nade wszystko w filozoficznej tradycji grozy. Wyjaśnienie jest takie: prapoczątkiem jest Pełnia, Doskonałość, Jedność, w której jednak nic się nie dzieje i nic się dziać nie może, nie mogłaby zaistnieć ani historia człowieka, ani historia natury. Doskonałości nic nie brak, a zatem nic się z niej ni w niej stawać nie może. Po to, by mógł powstać świat pierwotna Doskonałość musiała ulec degradacji, pierwotna Jedność — defirencjacji, wyłonił się z niej podział na dobro i zło, a także podział płci — na to, co męskie i to, co żeńskie. Gdyby nie było diabła, Bóg musiałby być jednocześnie i dobry i zły (bo taki jest świat podlegający dialektyce), a zatem musiałby być przeciwny sam sobie, co byłoby nielogiczne. W porządku tego świata, we wszelkim w miarę logicznym porządku musi więc koniecznie zaistnieć diabeł — obojętnie w jakiej postaci i wyglądzie.

To, co jest konieczne dla bytu jako całości, dla bytu antycznego, jest również konieczne dla bytów „niższego rzędu", jakimi są dzieła sztuki, świat wyobraźni, świat gry i zabawy. Wygotski w swym wybitnym studium z psychologii estetyki wykazał, iż niemożliwe jest rzeczywiste dzieło sztuki bez dialektyki treści i formy, która w istocie jest dialektyką dobra i zła. Tworzywo, treść dzieła jest tu złem, które artysta przezwycięża dzięki formie, powodując, iż w ostatecznym rozrachunku zwycięża ludzkie dobro. Ta zasada dialektyki dobra i zła obowiązuje, jak widzimy, nawet na najniższym poziomie bytu: w prymitywnej zabawie lunaparku. Po to, by zabawa się udała, by była fajna i zdrowa, musi być pokonywanie jakichś obszarów „zła" — w tym wypadku jest ono pokonywaniem „obszarów lęku" w postaci potężnych machin nadających ciałom ludzkim ruch, we wszystkich możliwych płaszczyznach, także dodatkowo — w postaci strasznych diabłów, wiedźm i kościotrupów.

Podstawowym błędem okresu propogandy suksesu było nieuwzględnienie koniecznej dialektyki dobra i zła. Świat — ten nasz, socjalistyczny, PRL-owski — przedstawiony był jako dobro samo. Było to pierwsze niesprawiedliwe, bo dobro samo nigdzie w świecie nie występuje (obok Boga musiał pojawić się diabeł). Po drugie zaś nikogo to nie bawi, nie wciąga, nie interesuje. Państwo ze swą ideologią sukcesu znalazło się w całkowitej izolacji. Dziś wydanie krajowe dziennika telwizyjnego stało się najbardziej popularnym serialem, przedsiębiorstwo — sceną, gdzie się rozgrywa dramat strajku, a ulica — politycznym heppeningiem. W sytuacji dialektyki walki, nieustannego ścierania się racji dobra i racji zła nastąpiło gwałtowne uspołecznienie świadomości. Sprawy publiczne stały się pasją wszystkich. Musi jednak upłynąć sporo czasu, zanim ta świadomość uczestnictwa w sprawach publicznych stanie się stwem i odpowiedzialności za jego świadomością identyfikacji z pańlosy.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK
Fot. Autor

miodobranie

W ostatnią niedzielę kalendarzowego lata w Myszyńcu-Zawodziu pszczółka Maja obwieściła imprezę folklorystyczną, organizowaną przez Wojewódzi Dom Kultury w Ostrołęce i myszyniecki GOK. Ale patronat bohaterki ulubionego przez dzieci serialu nie sprawił, by przybyłe mogli się w pełni miodkiem zadowolić Pszczelarze, którzy każdego roku — a była to impreza szósta z kolei — miodosycili pospólstwo, tym razem poprzestali na miodnych słowach, a miód i miodek dowieziony w niewielkich ilościach przez państwową instytucję zniknął w oka mgnieniu.

Za to duchowa uczta w pełni usatysfakcjonowała tych wszystkich, którzy mimo skąpej reklamy wywiedzieli się o imprezie i przybyli na nią autokarami, samochodami, rowerami, a nawet pieszo.

Propozycje wspólnej zabawy — przebogate Każdy mógł sprawdzić swoją zręczność, rzucając siekierą do pnia czy wchodząc na słup Wśród miejscowych duże zainteresowanie ..dzały kręgle i rzuty lotkami. Goście natomiast biegli pod namioty, by przyglądać się zręcznej myszyniecko-kadzidlańskiej sztuce wycinankarskiej, wystawie rękodzieła kurpiowskiego czy popisom garncarza. Natomiast pospólnym udziałem „zaszczycano" kolejkę po winogrona.

Widowisko plenerowe „Miodobranie kurpiowskie" przygotował zespół „Kurpie Leśne" z Wykrotów, a poprowadził, jak zawsze z werwą, gospodarz miodobrania, Stanisław Ceberek. Poprzedzały je występy licznych zespołów amatorskich z całego regionu, a także górali nowosądeckich, który to region, podobnie jak Kurpiowszczyzna, w najmniejszym stopniu uległ cywilizacyjnym skażeniom.

— Myszynieckie miodobranie ma także inny cel — powiedział dyr. WDK w Ostrołęce, Włodzimierz Parzychowski. Może uda nam się na powrót zainteresować pszczelarstwem ten rejon, w którym jeszcze nie tak dawno, było ono głównym rolniczym zajęciem.

— Bo rolnictwo poszło teraz na łatwiznę. Nasze Kurpie to już tylko pieczarkarnie i brojlernie. A miodobranie, to prosta sztuka, ale tylko na scenie — dodał Czesław Ceberek, założyciel młodzieżowego zespołu amatorskiego, biorącego udział w widowisku. (az)

fot. Gabor Lörinczy

meandry polityki rolnej

Nie przypadkiem rozważania Edmunda Pszczółkowskiego sąsiadują ze wstrząsającym pamiętnikiem Wiktora Martyniuka ze wsi Chyże w województwie białostockim. Pierwszy tekst (wydrukował go „Miesięcznik Literacki" nr 7/81) jest wykładnią polityki rolnej, za którą „dziękczynienia" składamy do dziś. Drugi — pamiętnik napisany w 1977 r. na konkurs „Gazety Współczesnej" pn. „Konflikt Współczesny" — jest żywą ilustracją owoców pracy polityków, ich widzenia spraw rolnictwa. Pytanie: jak daleko w praktyce odeszliśmy od — zdawałoby się słusznych koncepcji — pozostawiamy otwarte.

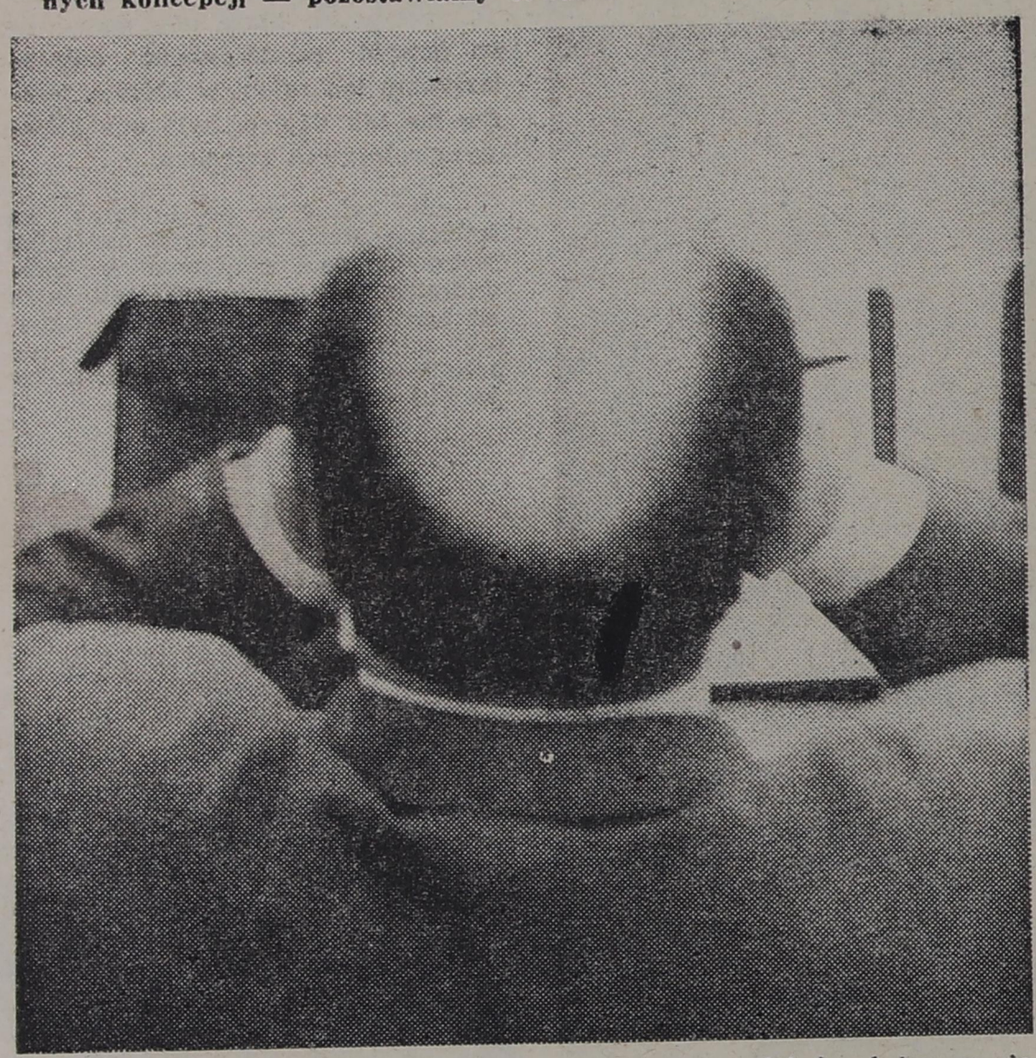

Manifest lipcowy i zapowiedziana w nim reforma rolna zapoczątkowały na wsi polskiej ogromne przemiany i posiadały wpływ na wiele zjawisk zachodzących w rolnictwie w okresach późniejszych. W wyniku reformy i konfiskaty majątków obszarniczych powstało na dawnych ziemiach 347 tys. nowych gospodarstw, które otrzymali byli fornale i bezrolni chłopi. Ogólny obszar ziemi przydzielonej nowo utworzonym gospodarstwom wynosił około 1.900 tys. ha, a średnia wielkość ziemi przypadającej na takie gospodarstwo wynosiła 5,4 ha. Znacznie mniejszy obszar ziemi przeznaczony został na upełnorolnienie. Chłopom małorolnym, stanowiącym najliczniejszą warstwę (udział liczbowy gospodarstw o wielkości od 0,5 do 5 ha wynosił w Polsce przedwrześniowej około 64 proc.) przydzielono niespełna 500 tys. ha dla 254 tys. gospodarstw. Pewna część właścicieli gospodarstw karłowatych oraz ludności bezrolnej objęła poniemieckie gospodarstwa na ziemiach odzyskanych, które jednak w większości przydzielone zostały ludności przesiedlającej się ze wschodnich terenów Polski przedwojennej. Łącznie przekazano 467 tys. gospodarstw o łącznej powierzchni 3.700 tys. ha i średnim obszarze jednego gospodarstwa 7,9 ha. Równocześnie w majątkach pojunkierskich zorganizowane zostały państwowe gospodarstwa rolne na obszarze, który 1 I 1949 liczył niecałe półtora miliona hektarów. [...] Jeszcze jedna sprawa wiążąca się z reformą rolną i osadnictwem na ziemiach odzyskanych. Dekret o osadnictwie ustalał wielkość przydzielanych gospodarstw, w zależności od warunków glebowych, ekonomicznych i klimatycznych, od 7 do 15 ha, a gospodarstw hodowlanych do 20 ha. Na podstawie instrukcji Ministerstwa Rolnictwa z maja 1948 roku obniżono tę normę do granic 5—12 ha lub 5—15 ha w dwóch okręgach, na jakie podzielono teren osadnictwa. W rezultacie w latach 1948—1960 dziesiątki tysięcy gospodarstw kilkunastohektarowych obcięto do wielkości 7—8 ha tworząc w znacznej części wsi grunty Państwowego Funduszu Ziemi. Operacji tej dokonano w warunkach wciąż jeszcze występującego braku ludzi, zarówno na terenach przeznaczonych do zagospodarowania indywidualnego, jak i jeszcze ostrzej, w PGR-ach. Na tych ziemiach w połowie 1948 r. leżało jeszcze odłogiem prawie 25 proc. ziemi.

Mimo głębokich rewolucyjnych przemian w strukturze rolnictwa, masowych wędrówek chłopów na ziemie odzyskane dla przejmowania nowych gospodarstw, ogromnych zniszczeń wojennych, następowało dość szybkie odbudowanie produkcji rolnej.

I właśnie w tym czasie zapadają dwie decyzje o wielkim znaczeniu społeczno-gospodarczym: szybkiej industralizacji kraju (plan 6-letni) i równoczesnej przebudowy socjalistycznej rolnictwa. Jakie okoliczności towrzyszyły budowaniu gospodarki socjalistycznej na wsi? Polskie rolnictwo należało do najbardziej rozdrobnionych w Europie i posiadało w tym czasie największe przeludnienie, najwięcej zbędnych rąk do pracy. Udział rolnictwa w tworzeniu dochodu narodowego był znacznie wyższy niż u naszych sąsiadów i jakiekolwiek zakłócenie w produkcji rolnej musiało poważnie ważyć na całości dochodu narodowego. Poziom przemysłu polskiego był taki, że nie mógł on zaopatrzyć rolnictwa w środki produkcji w rozmiarach, do jakich zdolny był przemysł Czechosłowacji i NRD.

Pod koniec 1949 istniały już pierwsze 243 spółdzielnie produkcyjne, rok później liczba ich urosła już do 2.200, by w 1955 dojść do niespełna 10 tys. spółdzielni, obejmujących obszar 1,638 tys. ha. Znane są okoliczności, jakie towarzyszyły organizowaniu spółdzielni. Znany jest twardy opór chłopa polskiego, wrosłego w swe gospodarstwo, przeciwko kolektywizacji. W rezultacie spółdzielnie produkcyjne powstawały w pewnej liczbie spośród właścicieli karłowatych gospodarstw, którym przydzielono znaczne obszary gruntów z Państwowego Funduszu Ziemi, a głównie spośród nadzielonych ziemią, w ramach reformy rolnej, byłych fornali i bezrolnych oraz osadników na ziemiach odzyskanych.

Skromne środki produkcyjne były przede wszystkim do PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych kierowane. Dostawy nawozów mineralnych pod zasiewy w 1955 r. wyniosły średnio w kraju 35,3 kg na 1 ha powierzchni zasiewów, w tej liczbie jednak gospodarce indywidualnej przypadło odpowiednio 28,1 kg, spółdzielniom produkcyjnym 54,3 kg i PGR-om 59,2 kg. Niezwykle ubogo przedstawiały się dostawy uprawnych maszyn konnych. Na przykład siewników konnych w 1955 r. dostarczono niecałe 18 tys. szt. z czego 11 tys. zostało skierowanych do Gminnych Ośrodków Masznowych. Cały park traktorów i maszyn towarzyszących dzielony był między PGR-y i POM-y. POM-y obsługiwały głównie spółdzielnie produkcyjne. Na wykonane przez POM prace, w przeliczeniu na hektar orki średniej, w liczbie 4 mln ha na gospodarstwa indywidualne przypadało zaledwie 230 tys. ha, tj. niecałe 6 proc. Skutki tej polityki doprowadziły nie tylko do ogólnej stagnacji produkcji rolnej, ale wręcz do wyraźnego cofnięcia się w latach 1951—53. Produkcja globalna, która w 1950 osiągnęła 11189 mln zł, spadła w następnym roku do 10603 mln zł (w cenach porównywalnych) i przekroczyła nieco poziom 1950 r. dopiero w 1954 r. Zahamowanie wzrostu produkcji rolnej zderzyło się z narastającym zapotrzebowaniem na żywność. Spowodowało to dysproporcje między popytem i podażą, szczególnie właśnie w zakresie artykułów żywnościowych.

Zwiększyła się rozpiętość między wzrostem produkcji zwierzęcej a nie nadążającym za nim wzrostem produkcji roślinnej, zwłaszcza pasz. Jeśli przyjąć za 100 wskaźnik produkcji roślinnej w 1949 roku, to przez szereg lat następnych był on o kilka punktów niższy (od 4 do 9), a dopiero w latach 1954 i 1955 przekroczył go bardzo nieznacznie o 2 i 2,6 punktu. W tym czasie produkcja zwierzęca, przyjmując ten sam wskaźnik 1949 r. za 100, rosła systematycznie, osiągając w 1955 r. wskaźnik 133. Zrodziło to napięcie bilansu paszowego, a w naszych warunkach dotyczy to głównie zbóż.

Skup zboża w tych latach opierał się w zasadzie na ściąganiu obowiązkowych dostaw. Normy obowiązkowych dostaw posiadały szereg istotnych wad. Opierały się one na tzw. klasyfikacji społecznej gleb, ustalonej szacunkowo pod naciskiem wysokich planów skupu. Drugim kryterium norm były plany skupu, oparte na towarowości poszczególnych powiatów w poprzednich latach. Dodać należy, że ta towarowość zbóż kształtowała się w warunkach znacznie niższego poziomu produkcji zwierzęcej. Wreszcie trzecim czynnikiem była progresja stosowanych norm w zależności od wielkości gospodarstwa. Tak np. norma dla gospodarstwa o rozmiarach 7 ha „przeliczeniowych" w województwie krakowskim wynosiła dla powiatu limanowskiego 64 kg na 1 ha, a dla powiatu miechowskiego 194 kg na 1 ha.

Taka struktura obowiązkowych dostaw zbóż wpływała rujnująco na wiele gospodarstw średniorolnych, a szczególnie na gospodarstwa zamożniejsze, większe obszarowo. Trzeba tu podkreślić, że początkowo cena płacona w obowiązkowym skupie zbóż była czterokrotnie niższa od ceny rynkowej oraz, że progresji obowiązkowych dostaw towarzyszyła progresja podatkowa.

Nie mogąc podołać nałożonym ciężarom, wielu właścicieli gospodarstw zadłużyło się, ograniczało hodowlę, pozostawiało część gruntów nie uprawnionych, wreszcie przekazywało gospodarstwo państwu. Wydany został dekret o obowiązku zagospodarowania gruntów i wtedy to właśnie miał miejsce najszybszy w historii PGR-ów proces przejmowania przez nie gruntów chłopskich. Obszar PGR-ów zwiększył się z 2.212 tys. ha w 1950 r. do 3.070 tys. ha w 1952. Było to trudne i bardzo kosztowne i dezorganizujące produkcję zadania nałożone na PGR-y.

To ta właśnie błędna polityka i jej głęboko szkodliwe skutki doprowadziły do tak drastycznych i bezprawnych posunięć, jak skierowanie pełnomocników skupu do poszczególnych województw i szerokie stosowanie aresztów chłopów za niewywiązywanie się z obowiązku dostawy zboża. Pierwsze próby naprawy błędów i usuwania ich skutków podjęte zostały na II Zjeździe PZPR w marcu 1954 r.

Nie była to jednak bardziej zasadnicza zmiana polityki rolnej, były to raczej korekty dotychczasowej polityki. Zasadnicze zmiany przyniósł rok 1956 i VIII Plenum KC.

Najbardziej znamiennym był fakt gwałtownego rozpadu spółdzielni produkcyjnych. Spośród 9.975 istniejących jeszcze w czerwcu 1956 r. w grudniu tegoż roku pozostało już tylko 1534. Pozostały opuszczone budynki gospodarcze, w większości nieprzydatne w nowej sytuacji. Powrócili do stanu sprzed paru lat właściciele gospodarstw utworzonych z parcelacji majątków obszarniczych między fornali i bezrolnych. Sytuacja ich niewiele różniła się od tej, w której zaczynali samodzielne gospodarowanie przed dziesięcioma laty. Do dziś pozostał mi w pamięci obraz zwiedzanej gospodarki po rozwiązaniu spółdzielni, której członkami byli właśnie tego typu właściciele gospodarstw. Wielka obora poprzedzielana deskami na mniejsze części, w których mieścił się skromny dobytek, składający się najczęściej z jednego konia, jednej lub dwóch krów oraz paru sztuk trzody chlewnej.

Zmniejszono wydatnie obciążenia wsi, obniżając o około 1/3 obowiązkowe dostawy zbóż i równocześnie podnosząc ich cenę o 100 proc. oraz znosząc obowiązkowe dostawy mleka. Równocześnie jednak wzrosły ceny nabywanych przez wieś środków produkcji, co w sumie zmniejszenie obciążeń wsi zredukowało do znacznie skromniejszej kwoty 1,6 mld zł. Uwzględniając jednak wzrost produkcji rolnej, obliczano wówczas, że realne dochody wsi w ciągu ostatnich dwóch lat wzrosły o ponad 20 proc.

W 1957 r. anulowany został dekret o obowiązku zagospodarowania ziemi oraz uchwalona została ustawa o obrocie ziemią, która nadawała prawo obrotu ziemią uzyskaną z reformy rolnej i osadnictwa. Dotyczyło to jak wiadomo, 6 mln ha ziemi. Wspomnieć należy, że ówczesne plany PGR-ów przewidywały zmniejszenie zagospodarowanego przez siebie areału o około pół miliona hektarów. Oznaczało to plan przywrócenia chłopom ziemi przejętej od nich na zasadach, anulowanego teraz, dekretu o obowiązku zagospodarowania ziemi.

Oceniając te posunięcia, można bez przesady chyba powiedzieć, że największy wpływ na ożywienie działalności gospodarczej chłopów miało zaniechanie nacisku przy organizowaniu spółdzielni produkcyjnych i otwarcie przez to wyraźniejszej perspektywy samodzielnego gospodarowania chłopów.

Po paru latach ożywienia zaczął coraz wyraźniej zaznaczać się ponowny stan stagnacji rolnictwa, zaczęły mnożyć się objawy rozkładu części gospodarstw chłopskich. Zjawiska te ukazuje dość jaskrawo szeroka ankieta przeprowadzona w 1967 w 15 tys. wsi, obejmująca 848 tys. gospodarstw. Ujawniła ona że wśród tych gospodarstw było 142 tys. (czyli prawie 17 proc.) o znacznie niższym od przeciętnego poziomu produkcji, a ponad 70 proc. areału gruntów tych „zagrożonych upadkiem gospodarstw" należało do gospodarstw powyżej 5 ha. Ankietę tę otrzymali członkowie KC PZPR w związku z odbywającym się plenum KC we wrześniu 1967 r. poświęconemu głównie sprawie „pełnego wykorzystania istniejących w rolnictwie rezerw".

Jakie były przyczyny powstawania tych niekorzystnych zjawisk? Ciężar obowiązkowych dostaw, złagodzony wprawdzie w latach 1956—57, a zwłaszcza istniejąca nadal progresja wymiaru dostaw i nieuzasadnione ekonomicznie różnice norm w poszczególnych regionach kraju, wpływały destrukcyjnie na rozwój dużej części gospodarstw, zwłaszcza średniorolnych i większych obszarowo. Samo istnienie obowiązkowych dostaw, chociaż nieco złagodzonych, narzucało gospodarce chłopskiej schemat bardzo często kłócący się z warunkami ekonomicznymi danego gospodarstwa, paraliżował on inicjatywę gospodarczą, utrudniał wybór najbardziej optymalnego kierunku rozwoju gospodarczego. Dalece niedostateczny dopływ środków produkcji i słabo opłacalna produkcja stanowiły również podstawowe przyczyny zahamowania rozwoju produkcji rolnej.

Jakie drogi poprawy sytuacji w rolnictwie i zwiększenia produkcji rolnej nakreślono na wrześniowym Plenum KC w 1967 r., jakie środki podjęto dla „pełnego wykorzystania istniejących w rolnictwie rezerw"?

Nie szukano środków przywrócenia zdolności produkcyjnej gospodarstwom, które zaliczano do podupadłych, a które w 70 proc. były gospodarstwami o areale powyżej 5 ha, nie szukano rzeczywistych przyczyn, które je do stanu podupadłości doprowadziły, nie zdawano sobie sprawy, że są to przejawy ogólniejszego kryzysu nękającego całe rolnictwo.

Główne przyczyny podupadania gospodarstw upatrywano w starości ich właścicieli, losowych wypadkach, braku kwalifikacji i umiejętności gospodarowania. W analizie przyczyn nie wzięto pod uwagę, że los podupadłych gospodarstw dotykał w dużej większości gospodarstwa średniorolne i większe obszarowo.

EDMUND PSZCZÓŁKOWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

omal nie oszalałem z rozpaczy

W latach 1952—53 w naszej wsi, jak i innych na Białostocczyźnie, wkraczała kolektywizacja, co ja odczułem i moja rodzina, i dzieci, a przeważnie żona moja. W tych latach zaczęli odwiedzać naszą wieś aktywiści, a nie tylko odwiedzać, a być częstymi gośćmi w organizowaniu spółdzielni produkcyjnych. Ale że nikt się nie garnął do obiecanego raju, więc przypuścili szturm generalny. Niby dobrowolnie, ale stosowano przymus i zastraszenie. Te typy były z naganną przeszłością i pół analfabety, myślały że są oni geniuszami i że będą chodzić wiecznie w aureoli. Siedzieli we wsi, robili zebrania chodzili od chaty do chaty. namawiali, zmuszali gospodarzy do spółdzielni produkcyjnych. Mieli na to czas, gdyż zakład płacił im chyba nieźle. No i na wsi byli panami. Niejakiego B.J. sam dyrektor Zakł. Przem. Drzewn. w Hajnówce się bał.

Ja w tym czasie piastowałem urząd sołtysa we wsi po raz drugi, gdyż zwolniłem się w 48 r. bo budowałem dom, a w 1951 r. ponownie mnie wybrano. Zostałem sołtysem i chyba na „konflikt". Byłem zmuszony przez nich wystawiać im raz po raz wykazy gospodarzy co kto zdał, a kto zalega, robiąc zebrania itp., ugodnienia dla aktywu i noclegi.

Co dzień prawie mnie męczono i intrygowano, że ja się nie piszę do spółdzielni produkcyjnej, to inni nie piszą. Jedna wdowa, syn w milicji, zapisała się; druga — 18 ha, postraszyli, że jak się nie zapisze, to nie będzie córka chodziła do szkoły! trzeciego zapisali — członek poszedł do UB, czwartego kalekę, kilku starców. No bo jak człowiek nie wywiązał się z obowiązanych dostaw zboża czy mleka, ziemniaków, podatku i innych, gdy podpisał deklarację, to wszystko się skreślało i człowiek był już czysty jak lilie. Więc zostali wciągnięci ludzie pod przymusem i z musu. A to zalega, a to był sołtysem niemieckim, a to pracuje w mieście mąż, to zwolniony, to dopisali żonę i już 19 członków.

I tak zostałem sprowokowany i podpisałem deklarację. Nie było już rady, gdyż te typy zarzucali i mówili: — „Ty sołtys wróg, bo nie piszesz się do spółdzielni produkcyjnej." Kto nie zapisze się teraz, to go potem już za rok nie przyjmą. Byłem młody niedoświadczony, nie mogłem odciąć się od chytrych ich machinacji, gdyż ze wszystkich stron byłem okrążony.

Gdy podpisałem deklarację wszystkie zmory odpadły i strachy, byłem nowym człowiekiem. Mógłbym teraz rąbać na prawo i na lewo, byłem kimś. Ale serce to serce. Ono mi mówiło prawdę: źle, zostałeś oszukany, sprowokowany, zmuszony, zobacz naokoło co się dzieje! Kiedy w następnych dniach przyszedł do mnie obywatel aktywista z drugim aktywistą, to ja wycofałem swoją deklaracje. Powiedziałem, że rezygnuję na razie, bo dzieci małe, grunta są i brata, a figurują na mnie. Deklaracji nie zniszczyłem, a rzuciłem na półkę, gdzie były gazety a sam poszedłem sieczki z żoną urżnąć. Nie mogłem z nimi przesiadywać — miałem robotę.

Aktywiści zostali w mieszkaniu w kuchni i dwoje dzieci córeczka 3 lata i chłopczyk — 5 lat. W tym czasie aktywista tę deklarację zabrał przeze mnie wycofaną. Dzieci to widziały, bo gdy wróciłem, to chłopczyk, Lonek, mi tłumaczył, że ten w wysokiej czapce zabrał jakiegoś papiera i schował do teczki. Chłopczyk miał słabą mowę, więc ja myślałem, że on gazetę wziął poczytać, bo wypisywałem gazety.

Gdy wróciłem z żoną do domu już aktywistów nie było. Zjedliśmy kolację i wchodzi do mieszkania znów B. i ten drugi na nocleg. Rzuca rewolwer na stół, żeby ja widział, jaki on mocny. Proszę wyobrazić jak człowiek się czuje uczciwy, gdy ktoś mu czymś takim macha. Żona dała im kolację, posłała, przespali się, zjedli śniadanie. O wykradzionych deklaracjach nic nie wiem.

Po tygodniu przyjeżdża ekipa 6-ciu osób z powiatu Bielska Podlaskiego. Sołtys, zebranie wszystkich zrobić! Zebranie zebrało się. Namawiano każdego po kolei itp. Wygłaszano mowy, ale nikt już nie zapisał się. Więc kazano mieszkańcom opuścić mieszkanie, a pozostali sami członkowie i ja, jako sołtys. Siedząc koło stołu gości, patrzę: na stole deklaracje moje leżą! Przypomniałem słowa mego syna. Ale nic nie można było powiedzieć bo za słowo nie tak — wiedzenie. Kto tylko piśnie przeciw — to wróg. Nie można prawdy było mówić, bo usta bez nici były zaszyte. Gdybym co powiedział, to by oznaczało, że publicznie rozbijam spółdzielnię produkcyjną.

Więc wysoko postawiony aktyw od razu do wyborów przewodniczącego przystąpił. Wszyscy milczą, nikt się nie kwapił. Każdy został zmuszony (a z niewolnika nie ma robotnika) i było zebranie niemym. Po długim milczeniu ktoś podał mnie, sołtys niech będzie, on piśmienny i na miejscu człowiek, niech będzie. Nasi aktywiści zacierają tylko ręce, piszą już dwie godziny po północy. Piszą: jest przewodniczący, jest spółdzielnia produkcyjna. Będzie awans, pochwała, a może ordery.

Przewodniczącego nie przyjmuję. Będąc na sesji sołtysów wzywają do Komitetu, żebym podpisał protokół wyboru. Nie zgadzam się. I znów wybory, znów mnie podają na przewodniczącego. Proszę kogo innego. Podałem kandydaturę K. Obywatelka Tkaczowa zaprotestowała, że to złodziej i w więzieniu siedział, a żona jego szachrajka. Jest już przewodniczący, jest zebranie i wymiana gruntu. Powstaje harmider. Dlaczego? Jak zapisywali mówili inaczej.

Żona powiedziała sąsiadce, co B. zrobił z deklaracją. Wtedy aktywista S. do mnie: Jak to? Ja mówię delikatnie, jak było z deklaracjami. „A może tam było 1000 zł i je zabrał B." — powiedział S. Mówię nie, pieniędzy tam nie było, a deklaracje bez mojej wiedzy, bez mojej obecności zabrał. Oni wiedzieli jeden z drugim. Sporządzili protokół w partii z 21 marca 53 r. że ubliżyłem partii od złodziei, że jestem wrogiem, gomułkowcem. A o deklaracji ni słowa.

Wiosna przyszła, ludzie sieją, a u nas nikt. Każdy by z chęcią swoje grunta zasiał już, a do ogółu nie idzie. Znów winien sołtys. Zawieźliśmy swoje zboża do magazynu, a przywieźliśmy owies i pszenicę i złożyliśmy w stodole u przewodniczącego. Pora siać najwyższa, zakładam konie! W drugim końcu wsi przewodniczący ani myśli w pole wyjeżdżać. Burda! Złapał aktywistę w stodole na owsie jak się całowali z jego żoną. Koniec na tym, że pojechaliśmy w kilku siać.

S. działacz, dobrodziej, pijaczyna, przychodzi do mnie i pokazuje nakaz, żeby ja niejakiego członka spółdzielni produkcyjnej wprowadził do mieszkania pewnej wdowy, bo u niego słabe mieszkanie. I nadaje mi polęcenie, nakaz, żeby ja to wykonał, bo jak nie, to ja będę odpowiadał, pójdę do więzienia... Pomyślałem, taki może wsadzić do więzienia! Więc poczekaj, mówię, pójdziemy razem. Zwołam radnych. Zaszłem do jednego, żona mówi nie ma, no bo się schował, drugiego — też to samo, trzeci mówi ja się do takich spraw nie wtrącam i nie idę. Wołam Andrzeja idziemy do tej wdowy. Powiadam, że na mieszkanie do niej musi przyjąć sąsiada. Ona spódnicę podniosła S. pod nos, mówi tu tobie mieszkanie. To on byk taki i więcej ich było, cudze drzewo pozbierali, posprzedawali, przepili po pierwszej wojnie światowej i nie mogli postawić domu odpowiedniego, a mój mąż do grobu przez ten dom poszedł... I jeszcze raz mu goły tyłek pokazała i problem mieszkaniowy był rozwiązany, i ja od wykonania rozkazu zwolniony.

Przychodzi 1 maja 1953 r. Przyjeżdża po nas traktor z przyczepą, honorowo jedziemy do Hajnówki. W Hajnówce wręczają nam transparenty chińskich przywódców Maotsetunga Czuenlaja i Berię, 2 maja już jest milicja, przyjechała aresztować dwóch rolników, którzy nie podobali się żonie przewodniczącego. Oskarżenie brzmi, że naruszali 1 maja — grodzili płot. Zawołany byłem i sprawę wyjaśniłem, że nie można aresztować ludzi. Rolnik wiosną ma roboty w tym czasie, to nic dziwnego, że rankiem pojechał postawić czy poprawić na swej działce płot. Nie jest to przestępstwem i grzechem, a człowiek obowiązki wykonał. Aresztowanie upadło. Po niejakim czasie znów milicja, wołają mnie, bo kobieta ubliżyła spółdzielni, czyli żonie przewodniczącego. Złodzieje i szachraje, przewodniczący i żona, cały czas starali się mnie usunąć, bo jako sołtys przeszkadzałem im w kombinacjach i kradzieży. A. K. rządziła i wnosiła oszczerstwa, ugryźć już nie mogła nikogo, jak widać to za wszelką cenę chcieli pokazać, że oni coś znaczą.

Dnia 20 sierpnia 1953 r. zostałem aresztowany, a potem z Bielska Podlaskiego odwieziony do więzienia w Białymstoku z paragrafu 22, że publicznie rozpowszechniam, żeby odstaw nie dawano i namawiam członków do wystąpienia ze spółdzielni, a w tymczasowym aresztowaniu nie było wzmianki o deklaracji.

Żyłem nadzieją, że sąd mnie uniewinni. Myślałem za co, gdyż nie upijam się, nie palę, kraść nie mogę, nie zadzieram. A torby z więzienia nie zarzekaj się nigdy, powiedziałem potem. Odbyła się rozprawa. Broniłem się, byłem zdenerwowany, nie poważałem aktywistów, mówiłem prawdę.

Dnia 7 grudnia 1953 r. w Bielsku Podl. sygn. akt z art. 22 kk. zostałem skazany na dwa lata więzienia o rzekomym doprowadzeniu do zguby spółdzielni produkcyjnej. Wiozą mnie w kajdanach do sądu. Jednego, który zabił dziewczynkę z rewolweru i mnie, wroga, choć nikogo nie zabiłem, tylko złodziejom i szachrajom spod ciemnych gwiazd prawdę powiedziałem. Z ubijcami mnie skuwano i transportowano. Wstyd mi, że jestem kajdaniarzem. Chowam rękę Łzy mi idą do oczu. Wszyscy wiedzą, żem nie winien. Przemoc jeszcze raz przemoc, w Polsce Ludowej. Za co? Ojciec mój był biedak, ja biedak. Pasałem krowy cudze, zostałem sierotą, gdy miałem 14 lat. Żeby chociaż był ojciec dziedzicem czy bogatszym gospodarzem... Dzięki władzy byłem człowiekiem, byłem sołtysem. budowałem się, pracowałem...

Gdy zawieziono mnie do więzienia Białystok, było już ciemno i późno. Wpuszczono mnie do sali samego, położyłem się na łóżku. Tak mnie głowa bolała, nie mogłem pojąć dlaczego takie oszczerstwo! Głowa mi pękała, po prostu chciałem popełnić samobójstwo. Po paru godzinach zgrzyt zamka i do celi wpuszczają niejakiego Kwiatkowskiego, że zboża nie wykonał. Dwa lata — mówi. No, myślę, to za zboże dwa lata, ja taki wróg — też dwa! (Bo jak sąd czytał moje oskarżenie to wyglądało najmniej 5 lat dla wroga takiego). No i już mi lżej było, jestem w grupie.

W 1954 r. 24 stycznia wywożą mnie do kopalni Milowice, gdzie pracuję jako robotnik dołowy. Spółdzielnia nie kwitnie. Cóż trzeba komuś przypisywać winę. Kołchoz nie rozwija się, bo moja żona rozbija. Meldują do partii członkowie, sporządzają dowody i żonę wzywają na milicję. Żona zostawia troje małych dzieci i idzie pieszo na komendę przeszło 5 km, a są żniwa. I tak kilkakrotnie mówią żonie, że ona rozbija spółdzielnię produkcyjną. Mąż siedzi, wróg spółdzielni to i obywatelkę posadzimy. Po takim przesłuchaniu kilkakrotnym to by, zdaje się, i z mocnymi nerwami zgłupiał.

I tak rządziła klika złodziei, którym dawano wiarę i żadnej krytyki nie było. Był turecki system, winien nie winien, wieszać niewiernych. Po takim szantażowaniu nawet sąsiedzi bali się pomóc żonie, żeby nie być podejrzanymi. Żona nie wytrzymała i dostała szoku nerwowego, padaczki. Moi oczerniacze szydzili z tego i plan zrobili, by żonę do Choroszczy odesłać, małe dzieci do sierocińca, a ja w więzieniu już zginę. W nowym domu, co go tylko pobudowałem — świetlicę zrobić. Generalny plan — wart medalu. Ktoś napisał o tym do prokuratury czy sądu i zostałem przed terminem zwolniony. We wrześniu, dnia 7 września 1954 r.

Opowiadała mi żona jak mnie aresztowali, to przyszedł K. do mieszkania i mówi, żeby mu dała 300 zł. to mię wypuszczą, bo on wie z kim wypić. Przy podziale za pracę naszą dali żonie pośladu 200 kg owsa, pszenicy jarej i parę metrów kartofli, a na drugi dzień przyjechali poborcy, sołtys, zabrali to, bo rozkaz spółdzielni.

W grudniu 54 r. wybory w spółdzielni. Przychodzą do mnie zapraszają mnie z żoną na zebranie, przepraszają mnie. Poprzedni aktywiści zniknęli, w spółdzielni produkcyjnej są inni. Odwiedzają mnie i namawiają, żebym był przewodniczącym. Taki wróg a tu dobry! Odmówiłem tej funkcji.

Wczesną wiosną rozwiązała sie spółdzielnia. Jak organizowane byli, tak jeszcze prędzej się rozleciały. W 1956 r. opisuję swoją krzywdę do Centralnego Komitetu PZPR i do Prokuratora Generalnego o ponowne rozpatrzenie sprawy. Dostaję zawiadomienie, że Pierwszy Prezes wniósł rewizję nadzwyczajną. Sąd Najwyższy w Warszawie, w Izbie Karnej, na posiedzeniu niejawnym uchyla wyroki poprzednie i przekazuje do rozpatrzenia do Sądu Wojewódzkiego w Białymstoku. Dnia 9.X.1958 r. rozprawa się odbywa. Sąd w całej rozciągłości potwierdza moją niewinność. K. nie mogą kłamać i N. załamują się. Zwalają winę na aktywistów, partię, że im kazano tak robić. Sąd wstydzi ich. Dnia 28.IV.1961 r. Sąd Wojewódzki sygnatura akt KOW 78/59 postanowił mi zasądzić od Skarbu Państwa 15.000 zł, 10.000 zł potrącono, że mnie karmiono w więzieniu, razem byłoby 25.000 zł. Żonie, która 50 procent niezdolna była do pracy, renty nie przyznano, bo nie było przeprowadzone szereg badań. Mogłem apelować, bo to była suma niska, ale byłem tak zniszczony materialnie i moralnie, że każdy wydatek mię straszył. Troje dzieci do szkoły, rozjazdy, żona chora. Przyjąłem to, co dawno. Kupiłem wóz zaraz, resztę było na inne wydatki, już była pomoc. I tak pomału, dorobiłem się, dzieci rosły, uczyły się. Ta Ania, najstarsza, skończyła Uniwersytet Warszawski w roku 1972, jest magistrem, psychopedagogiem.

Wiktor Martyniuk
wieś Chyże
woj. białostockie
Fot. GOBOR LÖRINCZY

grzyby na zielonej murawie

sport

W szesnastu meczach ani jednej porażki; 12 zwycięstw, 4 remisy 85 zdobytych bramek i tylko 18 straconych. Niektóre zwycięstwa to istne pogromy przeciwników: 16:0 z „Czarnymi" Wąsosz, 11:3 z „Ziemowitem" Nowogród i jeszcze 7:2 i 9:2 z „Victorią" Jedwabne. Przeciętnie ponad pięć zdobytych bramek w każdym z szesnastu meczy! Oto bilans występów w rozgrywkach klasy wojewódzkiej, w sezonie piłkarskim 1980/81 Klubu Sportowego „Grom" z Czerwonego Boru. Powie ktoś, czym się tu chwalić, przecież to B-klasa i żaden poziom. Trochę w tym prawdy, bo początek rozgrywek w lidze okręgowej nie był dla nich najszczęśliwszy. Trzeba to jednak złożyć na karb braku rutyny, a nie braku umiejętności bo mało która drużyna nie płaci frycowego. „Orzeł" Kolno, zdobywca pucharu Polski szczebla wojewódzkiego, dwukrotnie musiał uznać wyższość „gromowładnych", ulegając im nawet na własnych śmieciach 3:0, natomiast w Czerwonym Borze aż 5:1! A przecież był on prawie stuprocentowym pewniakiem na awans do ciechanowsko-łomżyńsko-ostrołęckiej ligi okręgowej. Czarnym koniem rozgrywek nie okazała się też „Wissa" Szczuczyn, ani „Smolniki" Stawiski, lecz właśnie „Grom". Ostatecznie w tym awansie nie byłoby nic dziwnego gdyby nie to, że „Grom" bez większego powodzenia debiutowali jesienią 1979 roku w rozgrywkach klasy wojewódzkiej, zdobywając zaledwie trzy punkty. Rundę wiosenną roku następnego mieli wprawdzie już lepszą, lecz nikt nie liczył, że wygrają rywalizację z Kolnem.

Jeśli o „Orle" mowa to wydaje się, że tej drużynie brak ostatnio szczęścia. Sądząc po dotychczasowym przebiegu rozgrywek jej rywalem do awansu jest łomżyńska „Bawełna", a wszystkie znaki na ziemi i wodzie wskazują na to, że w przyszłym sezonie z „Orłem" rywalizować będzie drużyna, także ze stolicy województwa — ŁKS. Ale odpukać, bo jestem nieprzejednanym sympatykiem tej ostatniej i lepiej, żeby moje czarne myśli pozostały tylko przypuszczeniami. Zawsze to raźniej w gronie swojaków, a dotychczas, jako województwo, systematycznie — zamiast zwiększać — zmniejszamy liczbę zespołów w lidze trzech województw. Wierzę jednak i mam nadzieję, a ze mną również rzesza sympatyków kopanej, że łomżyński OZPN potrafi zaradzić rysującemu się coraz bardziej upadkowi piłki nożnej w województwie. Przyczyny tego stanu są oczywiste, wystarczy tylko porównać pracę sekcji zambrowskiej „Olimpii" i chociażby ŁKS-u. Zestawienie chluby ani ŁKS-owi, ani innym klubom nie przynosi. Jeśli w dalszym ciągu nie będzie rozwiązany problem pracy z młodzieżą, do czego kluby zobowiązują odpowiednie przepisy Polskiego Związku Piłki Nożnej, to w najlepszym przypadku będzie tak jak jest, czyli źle. Nie trzeba nikogo przekonywać, bo sprawa jest oczywista, że prawidłowa praca z młodzieżą to podstawa egzystencji sekcji piłkarskich. Aby jednak było lepiej, trzeba więcej konsekwencji łomżyńskiego OZPN-u w stosunku do klubów w egzekwowaniu obowiązujących zarządzeń. To tak na marginesie — powróćmy do tematu.

Klub „Grom" nie ma możliwości szkolenia trampkarzy i juniorów. Najbliższe skupisko młodzieży to szkoła podstawowa w Wygodzie. A gdyby już, to skąd wziąć pieniądze na opłacenie szkoleniowców? Wbrew pozorom w obecnym układzie jest to problem nie do pokonania. Na jego rozwiązanie trzeba jeszcze poczekać, co zresztą uzależnione jest w dużym stopniu od postawy zawodników w rozgrywkach ligi ciechanowsko-łomżyńsko-ostrołęckiej. Obecnie pieniądze niezbędne na opłacenie szkoleniowca i organizację meczy pochodzą ze składek członkowskich oraz uzyskiwane są ze sprzedaży złomu i... grzybów. Sprawy organizacyjne załatwia się na zasadzie społecznego działania. Gdyby nie sprzyjająca atmosfera wokół drużyny i ojcowski stosunek „góry" do piłkarzy i ich opiekunów, o większych sukcesach — ba, nawet istnieniu „Gromu" — nie można by marzyć.

Twierdzenie o przychylnej atmosferze nie jest bezpodstawne. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu kilku tygodni przeprowadzono modernizację płyty boiska w Czerwonym Borze. Zrobiono to sprawnie, ale, co najważniejsze, dobrze, czego nie można powiedzieć o remoncie boiska w Łomży.

Działacze z Czerwonego Boru nie są chętni do zwierzeń. Ich powściągliwość jest chyba efektem uznawania zasady: mało gadać, dużo robić. I w ich przypadku się sprawdza tym, że działają konsekwentnie uczciwie wiedzą w łomżyńskim OZPN-ie. Skończmy zatem na tym, nie wywlekając starych historii. A póki co, wojskowym wypada życzyć utrzymania się w lidze i powodzenia w rozgrywkach pucharowych.

WYMIATACZ

skrzyżowania skrzyżowania

Al Capone i inni

Nie tak dawno nasze środki masowego przekazu z przejęciem donosiły o sensacyjnym pościgu za „Żukiem" załadowanym kradzionymi dobrami ogromnej wartości. Scena żywcem wyjęta z amerykańskiego filmu gangsterskiego i przeniesiona na ulice Łodzi: butelki z koniakami sypiące się na milicyjny wóz ścigający złodziei, szaleńcza jazda po mieście, słowem, obraz godny serialu, traktującego o okresie prohibicji w Stanach Zjednoczonych, a zatytułowanego skromnie „Eliot Ness przedstawia".

Ale i łomżyńskie dokłada wysiłków, by nie stać się gorszym od Łodzi (przynajmniej w podobnych sprawach). Oto pewnej sierpniowej nocy w pobliżu Wysokiego Mazowieckiego patrol milicyjny służby ruchu drogowego próbował zatrzymać pijanego kierowcę samochodu „Warszawa". Ten jednak postanowił nie sprzedawać tanio swej skóry i — zaczął uciekać. Milicjanci ruszyli za jego samochodem. Wtedy z poczciwej „stolicy" zaczęto miotać w wóz ścigających butelkami (niestety, nie z koniakiem). Pasażer — artylerzysta nie ograniczał się do tego — starał się także w czasie prób wyprzedzania zatrzymać gonących otwartymi drzwiami. Kiedy wreszcie milicjantom udało się wyprzedzić samochód, kierowca Warszawy usiłował grzmotnąć w kufer uparciuchów i zwalić ich w ten sposób do rowu, by definitywnie odechciało się im pościgu. Pechowo dla niego, nie udało się jednak urzeczywistnić tego przewrotnego zamiaru, a cała sprawa znalazła finał w jednym z kolegiów do spraw wykroczeń.

Obrazki tego typu miło oglądać siedząc wygodnie przed telewizorem. Ale czy ktoś z nas chciałby znaleźć się na miejscu milicjantów goniących „pijaną śmierć"? Ów pościg mógł zakończyć się dla nich tragicznie, zaś jedynym efektem zatrzymania „pirata" będzie, co najwyżej, pięciotysięczna grzywna oraz odebranie prawa jazdy na okres dwóch lat.

I pomyśleć, że taka „kara" spotka człowieka, który bez najmniejszych skrupułów chciał jej uniknąć za cenę zdrowia, a — nader to realne — i życia przedstawicieli prawa, narażając przy tym na poważne niebezpieczeństwo również przypadkowych kierowców i przechodniów. Czy nasza Temida faktycznie musi być ślepa.

Toczy się ożywiona dyskusja społeczna na temat nowelizacji prawodawstwa. Padają w niej głosy domagające się złagodzenia sankcji dla przestępców i sprawców wykroczeń oparte na dość baśniowej tezie stanowiącej, iż „dobra kara nie jest równoznaczna z surową karą". Osobiście uważam tę tezę za chlubną, lecz nieco irracjonalną. Przy nieodpowiednim jej interpretowaniu dojść może bowiem do wytworzenia poczucia bezkarności u osób łamiących prawo, a w konsekwencji — do dalszej eskalacji przestępczości. Stara, rzymska maksyma prawnicza głosi: „Dura lex — sed lex" co przełożyć można: „twarde prawo — ale prawo". W kontekście opisanego przeze mnie przykładu pijanego kierowcy godzi się jeszcze zapytać: gdzież jest ta deklarowana bezpardonowa wojna wydana przez państwo pijaństwu?

DYŻURNY DROGOWSKAZ

kronika towarzysko-rodzinna

pod redakcją Gabora Lőrinczego

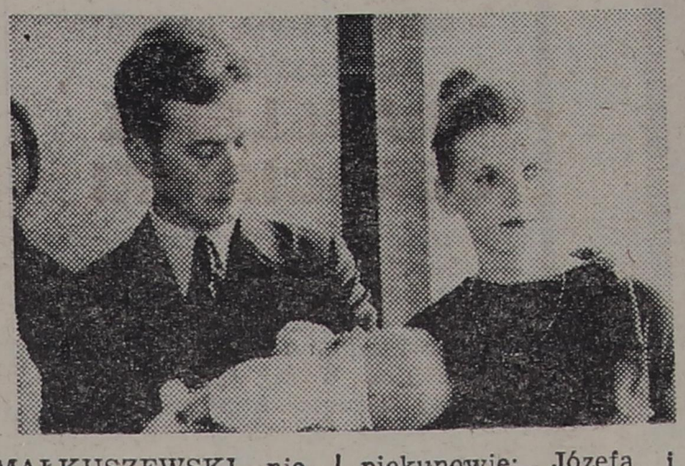

Do tradycji już weszło w łomżyńskiej Komendzie Wojewódzkiej MO, że nadawanie imion dzieciom funkcjonariuszy odbywa się w USC w podniosłej i uroczystej atmosferze. Tak też było ostatnio: świętowali nie tylko rodzice i opiekunowie, ale także członkowie Koła Rodzin Milicyjnych, organizacji partyjnych i kierownictwa służbowego. Tego dnia nadano imiona siedmiorgu dzieciom. Przedstawiamy troje z nich:

MARCIN MAŁKUSZEWSKI niedawno ukończył 6 miesięcy. Opiekunowie honorowi: Maria Grażyna Chaberek i Jerzy Babiński są zachwyceni maleństwem — jest spokojne i sympatyczne. Ojciec, por. Włodzimierz Markuszewski twierdzi, że nie jest istotne kim będzie syn, ale to, by był porządnym człowiekiem. Kilkutygodniowy PAWEŁEK ZIELIŃSKI przespał całą uroczystość. Dumnie dzierżyli go honorowi opiekunowie: Józefa i Władysław Konstanty Szarkowscy. Gdy Paweł za kilka lat przeczyta tę informację dowie się, że w tym dniu otrzymał nie tylko imię, ale i książeczkę mieszkaniową i — tak jak pozostałe dzieci — mnóstwo podarków. PIOTR BRZEZIŃSKI, syn Mirosławy i Józefa, w dniu nadania mu imienia ukończył już roczek. Honorowi opiekunowie — Halina i Tadeusz Korwaccy — starali się usilnie wytłumaczyć mu, dlaczego tu jest i co się dzieje dookoła, ale niewiele z tego zrozumiał. Ojciec Piotrusia pragnie, by syn podtrzymał tradycję rodzinną i został milicjantem.

Wszystkim głównym aktorom uroczystości redakcja życzy szczęśliwego dzieciństwa, a rodzicom-wychowania ich bez kłopotów na ludzi godnych noszenia jednego wspólnego imienia — dobrego Polaka.

1.10.1981 TV 7.10.1981

CZWARTEK 1 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — język polski, sem. III. 6.30. Biologia, sem. III. 8.10. Przysposobienie obronne, kl. VIII i I lic. 11.20. Puchar Europy w piłce nożnej. 12.50. Język polski, kl. IV lic. 13.30, TTR, RTSŚ — fizyka, sem. I. 14.00. Biologia, sem. I. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Czwartek TDC, m.in. „Spadła z obłoków" (2). 18.00. „Patrol" — „Na żelaznych szlakach". 18.25. Międzynarodowy Dzień Muzyki. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Sonda". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.15. „Spadkobiercy pani Burke" (3) — „Dobry braciszek Joe". 21.15. „Pegaz". 22.00. „Śledztwo — dokumentacja do aktu oskarżenia". 22.35. Dziennik TV. 22.50. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30 Dziennik TV. 20.00. NURT: „Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki". 20.30. NURT: „Problemy wychowania przedszkolnego i nauczania początkowego". 21.00. NURT: „Cywilizacja i kultura współczesna". 21.30. 24 Godziny. 21.40. Międzynarodowy Dzień Muzyki.

PIĄTEK 2 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. I. 6.30. Biologia, sem. I. 8.10. Geografia, kl. VII. 9.55. „Krajobrazy Polski", kl. IV. 11.55. Wychowanie obywatelskie, kl. VIII. 13.30. 13.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. III. 14.00. Mechanizacja rolnictwa, sem. III. 15.40. Redakcja Szkolna zapowiada. 15.55. NURT: „Współczesne problemy pedagogiki pracy". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. „Piątek z Pankracym". 17.25. „W kręgu rodziny". 17.50. Filmy animowane. 18.15. „Impulsy". 18.50. Dobranoc. 19.00. „Wędrówki z kamerą" — „Lodowce i gejzery". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Monitor Rządowy. 20.30. „Na drugiej linii frontu" (3) 21.55. „Listy o gospodarce", 22.40. Dziennik TV. 22.55. Bruno Coquatrix i jego Olimpia (2).

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Wyrok na bestię" — proces w Düsseldorfie. 20.30. „Mój koncert" — Igor Śmiałowski. 21.15. 24 Godziny. 21.25. „Czy spółki polonijne mają przyszłość?". 22.15. „Sprawiedliwości stało się zadość" — francuski dramat obyczajowy w reż. Andre Cayatte'a.

SOBOTA 3 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. III. 6.30. Mechanizacja rolnictwa, sem. III. 7.00. Uprawa roślin, sem. I. 7.30. Mechanizacja rolnictwa, sem. I. 9.00. „Sobótka" — magazyn nastolatków, m.in. „Cudowny świat Walta Disneya". 10.25. Program dnia. 10.30. „Ostatnia bitwa generała Kleeberga" — film dokumentalny. 11.00. „Namysłowiacy" — Włościańska Orkiestra Symfoniczna. 11.25. „Ciuciubabka" — film prod. TVP. 12.40. „Gwiazdozbiór" — Greta Garbo (1). 13.30. „Z Polski rodem". 14.00. „Prorok, złoto i Siedmiogrodzianie" — western prod. rumuńskiej. 15.40. „Na polskiej Kamczatce" — reportaż filmowy. 16.00. Dziennik TV. 16.30. Monitr Sejmowy. 17.00. „Energia — poziom życia" — program publicystyczny. 18.00. „Rola" — Janusz Bukowski, Radost ze „Ślubów panieńskich". 18.50. Dobranoc. 19.00. CDN — „Sprawy ludzkie". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Publicystyka DTV. 20.15. „Stąd do wieczności" (3) 21.55. „Niedziela lub poniedziałek" — film rozrywkowy. 22.25. „Blisko i daleko". 22.55. Dziennik TV. 23.10. Teatr Sensacji — Włodzimierz Kuligowski i Marek Wortman (wg opowiadania Tobora Dery): „Jednouchy".

PROGRAM II

16.40. Program dnia. 16.45. „Przemytnicy z Rajgrodu" — film historyczny prod. NRD. 17.55. „Pierwsze porywy" (5). 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Zespół „Kombi". 20.40. Koncert muzyki poważnej. 21.45. 24 Godziny. 21.55. „Książę regent" (6) — „Boże chroń króla". 22.50. „Matejko w Koryznówce".

NIEDZIELA 4 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

6.10. TTR — uprawa roślin, sem. I. 6.40. Mechanizacja rolnictwa, sem. I. 7.10. TTR, RTSŚ — „Wiedza naszą szansą". 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00. „Tydzień" — magazyn rolniczy. 8.40. Telewizjada. 9.00. Teleranek, m.in. „Cudowny świat Walta Disenya". 10.25. Program dnia. 10.30. Antena. 11.00. „Tajemnice sztuki nowoczesnej" — kubizm. 12.00. Dziennik TV 12.45. „W świecie muzyki" — wspomnienie o Jerzym Żurawlewie. 13.30. „Sami o sobie" — program rolny. 14.00. „Piórkiem i węglem" — Wiśnicz. 14.45. „Przygody Sindbada". 15.10—23.15. Tylko w niedzielę. 15.15. Aukcja „staroci" morskich na rzecz budowy „Daru Młodzieży". 15.30. „Książka dla szczura" — reportaż ze składnic książek. 15.45. „Szczęśliwe wydarzenie" — komedia prod. NRD. 17.10. Zanim zabrzmi „Gaudeamus". 17.40. Aukcja „staroci" (2). 17.55. „Powstańcy w Łambinowicach". 18.10. „Utwory dla moich przyjaciół" — program o twórczości Józefa Prutkowskiego. 19.05. Wieczorynka. 19.30. Dziennik TV. 20.00 Wiersz dla Ciebie. 20.05. „Dłonie na oczach" (3). 21.15. „Misiek" — kabaret Olgi Lipińskiej. 22.10. Sportowa Niedziela. 22.40. „Gwiazdy w USA" — reportaż.

PROGRAM II

13.25. Program dnia. 13.30. „Z żołnierskiego szlaku" — program wojskowy. 14.00. „Lidar". 14.30. Przeboje tygodnia. 15.30. Teatr Wspomnień (1971) — Adam Mickiewicz: „Pan Tadeusz", księga V — „Kłótnia". 16.15. „Życie afrykańskich lwów" — film przyrodniczy. 17.10. Godzina z Jerzym Milianem. 18.10. „Operowe skarby" — koncert. 19.05. „Kinematograf". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Telewizyjny music-hall. 21.00. „W pracowni" — grafika Antoniego Boratyńskiego. 21.30. Filmy Stanisława Różewicza: „Romantyczni".

PONIEDZIAŁEK 5 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

13.30. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. III. 14.00. Wskazówki metodyczne, sem. III. 15.55. NURT: „Miejsce i rola filozofii w kulturze". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Zwierzyniec. 17.30. „Dom i my". 17.45. „Ile jest życia" (2) — „Sprawa wyboru". 18.50. Dobranoc. 19.00. Echa stadionów. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.10. Teatr Telewizji — Stanisław Grochowiak: „Szalona Greta" w reż. Ryszarda Bera. 21.35. XYZ, cz. I. 22.05. Dziennik TV. 22.20 XYZ, cz. II. 22.50. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. U sąsiada zza Odry. 21.30. 24 Godziny. 21.40. STUDIO BIS.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. III. 6.30 Wskazówki metodyczne, sem. III. 9.55. „Leży zebra na ulicy" dla kl. I—III. 11.00. Język polski, kl. III lic. 12.50. Język polski, kl IV lic. 13.30. TTR, RTSŚ — historia, sem. I. 14.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. I. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Kino Telewizji Najmłodszych. 17.30. Polska Kronika Filmowa. 17.40. Interstudio. 18.10. CDN. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Camerata". 19.30. Dziennik TV. 20.00. Publicystyka DTV. 20.15. „Zagadka dziecka klęski" — film obyczajowy prod. USA. 21.55. Forum ekonomistów. 22.40. Dziennik TV. 22.55. 30 minut z architekturą.

PROGRAM II

17.55. Język angielski dla zaawansowanych (1). 18.25. Język francuski (1). 18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Program historyczny. 20.25. Wtorek Melomana — „O konkursie przed konkursem". 21.25. 24 Godziny. 21.35. Wieczór Filmowy.

ŚRODA 7 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSŚ — historia, sem. I. 6.30. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. I. 9.00. Fizyka, kl. VI. 9.55. Praca — technika, kl. I. 11.00. Historia, kl. VII. 13.30. TTR, RTSŚ — język polski, sem. III. 14.00. Historia, sem. III. 15.55. NURT: „Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. „Michałki". 17.40. Magazyn motoryzacyjny. 18.05. Superliga tenisa stołowego: Polska — CSRS 18.40. Wystąpienie ambasadora NRD. 18.50. Dobranoc. 19.00. Skarbiec. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Filmoteka Arcydzieł: „Błękitny anioł" w reż. Josepha von Sternberga. 21.45. „Złota Tarka 81". 22.15. Dziennik TV. 22.30. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

14.50. Język francuski (1). 18.20 Język rosyjski (1). 18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Ekran Reporterów. 20.30 Poradnia „Zaufanie". 21.00. Superliga w tenisie stołowym: Polska — CSRS. 21.45. 24 Godziny. 21.55. „Szkiełko i oko" — program popularnonaukowy 22.40 Program morski.

nieustający konkurs na „zdarzenie"

Jeśli w Twoim mieście, osiedlu, wsi, a nawet w domu zdarzyło się coś, o czym chciałbyś poinformować innych — opisz to i prześlij na nasz adres: redakcja „Kontakty", 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, z dopiskiem na kopercie „Zdarzenie". Nie zrażaj się wątpliwościami typu: czy to na pewno kogoś zainteresuje? Za drogowskaz winno Ci służyć jedno: zainteresowało to Ciebie!

Zapraszamy wszystkich Czytelników do współpracy, gdyż chcemy by nasze zdarzenia oddawały najpełniej rytm życia województwa łomżyńskiego, każdego z jego zakątków, do których sami nie zawsze jesteśmy w stanie dotrzeć. Wybierajcie to, co wydaje się Wam ciekawe w życiu publicznym i rodzinnym. Informacje o własnych, cudzych; udanych i nieudanych inicjatywach; o godnych uwagi pomysłach (nawet tych najbardziej szokujących); o odkryciach nietuzinkowych ludzi; rzeczach śmiesznych i smutnych; o złotych i srebrnych godach, jubileuszach pracowniczych; autentycznych społecznikach; o hobbystach; o szokujących samobójstwach i tragediach; o ludziach znających stare pieśni, melodie, legendy, bajki, przysłowia, opowieści o rzadkich już umiejętnościach czy zawodach (zielarze, wróżbici, różdżkarze, kostoprawi, zamawiacze, kobiety rzucające uroki, czy usuwające kołtuny, ludowi rzeźbiarze i malarze, lunatycy, wywoływacze duchów itp.). O nowych i starych, ale interesujących domach i zagrodach. Możecie też nadsyłać pożółkłe i świeże listy rodzinne, mimowolnie śmieszne listy urzędowe, nakazy, wyroki, powiadomienia, zdjęcia, a także hasła uliczne... słowem wszystko, co prosto z życia.

Autora najlepszej, najciekawszej informacji miesiąca wyróżnimy specjalną nagrodą „Kontaktów", a za wykorzystany tekst (sygnał) zapłacimy honorarium według obowiązujących stawek.

REDAKCJA

WYSTAWY

Biuro Wystaw Arytystycznych — Salon Wystawowy, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): wystawa malarstwa Zygmunta Kotlarczyka (czynna od 18 IX).

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): „Emigranci łomżyńscy w USA" (fotografia sprzed I wojny światowej).

Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Wojtek Surawski — „Ławki".

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynne codziennie — oprócz poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych — w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00): „Wiejski pejzaż" — czasowa wystawa malarstwa ze zborów Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu (czynne codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00): „Zwierzęta domowe w malarstwie polskim" — czasowa wystawa dzieł wybitnych malarzy polskich ze zbiorów Muzeum Narodowego oraz prac współczesnych artystów z plenerów w Ciechanowcu.

Ogłoszenia drobne

BIURO matrymonialne „Piast", 84-300 Lębork, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi. p 1226-0

POSZUKUJĘ kobiety do dwojga starszych dzieci na stałe. 18-400 Łomża, ul. Woziwodzka 32.

p

„FIATA" 126 p — sprzedam Nowogródzka 114

p 122

SPRZEDAM samochód Trabant-601 w dobrym stanie rok produkcji 1974. Łomża, ul. Poznańska 12.

Łg 3068-1

„ŻUKA" z plandeką — sprzedam. Ryszard Czerwiński, Turośl, koło Kolna.

p 1230-1

ELEKTRYCZNY młyn — kaszarnię — sprzedam lub wydzierżawię. Łomża, ul. Nowa 3, tel. 22-42.

p 1229-0

numery kierunkowe telefonów

Łomża — Wizna	775
Łomża — Śniadowo	761
Łomża — Bronowo	773
Łomża — Bożejewo	771
Łomża — Nowogród	765
Łomża — Przytuły	770
Łomża — Burzyn	75
Łomża — Wys. Maz.	86
Łomża — Drozdowo	74
Łomża — Kownaty	72
Łomża — Podgórz	73
Łomża — Miastkowo	78
Łomża — Piątnica	763
Łomża — Rogienice	70
Łomża — Szczepankowo	79
Łomża — Kolno	87
Kolno — Łomża	8
Łomża — Ostrołęka	88
Ostrołęka — Łomża	61
Łomża — Warszawa	82
Warszawa — Łomża	886
Łomża — Białystok	85
Białystok — Łomża	0861
Zambrów — Łomża	861

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR. REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Lech Gizelbach, Adam Jerzy Socha, Juliusz Swiredo, Władysław Tocki, Eliński, Alicja Zagórska Fotoreporter — Gabor Lőrinczy Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski. Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel. Korekta — Elżbieta Słupska. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Jerzy Bielecki, Henryk Gała, Jacek Grün, Wiesław Jaek Kusiba, Włodzimierz Pawluczuk, Franciszek Piątkowski, Andrzej Podulka, Teresa Polecka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Gonicki, Andrzej Koziara, Klemens Krzyżagórski, Piotr Kuncewicz, Marek Goebel. Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku. Druk Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 1462/81 Nakład 19.000 A-5 PL ISSL 0203-5840 — Nr indeks su 36328. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red tyg. „Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary
organ samoistny

RODZI SIĘ MUZEUM

Pan Stanisław Kozielski z Łomży ofiarował tego właśnie diabełka w zakonnym habicie. Jest to rzeźba w korzeniu drzewa lipowego, wykonał ją sam ofiarodawca, od wielu lat zajmujący się amatorsko plastyką.

Panu Kozielskiemu składamy serdeczne podziękowania, a wszystkim Czytelnikom nadal przypominamy, że oczekujemy na eksponaty do przyszłego Muzeum Straszydeł, Demonów i Niesamowitości. Przyjmiemy w redakcji — bez żadnych ograniczeń i w dowolnej postaci — wszelkie maszkary, czarownice, diabły, strachy, dziwadła oraz albumy, książki, dokumenty i opowieści z nimi związane. Hojność zostanie nagrodzona wpisem do Złotej Księgi Ofiarodawców. Każdy wpis ze zdjęciem eksponatu opublikujemy na łamach „Kontaktów".

Fot. Gabor Lörinczy

SZANOWNY PANIE!

Niedowiary jestem, a nie Jan Baldrian, tak mnie Pan zaskoczył wydrukowaniem mojego listu. Aż oczy skrzydłami przecierałem. Na dodatek, niczego w tekście nie brakowało, ani jednej litery! Toż to lepiej Panie, jak przed laty (dokładnie przed 78 laty), kiedy carski cenzor wyniuchał w rękopisach „Kalendarza Łomżyńskiego" małą sztukę, którą posłałem redaktorowi do druku, i nie zezwolił na jej opublikowanie. A przecież nie był taki... jak Pan. Żarcik ten (wtedy mówiło się — sztuka) to był wierszyk, w którym podpowiadałem ludziom, jak mają postąpić przyłapani przez gryncypała na nicnierobieniu. Winni odpowiadać: — Nie wypada, dziś świętego Ł. (— Nielzia, siewodnia światowo Ł.). Mówić należało głosem przyciszonym, jakby to było święto tajne. „Kalendarz" nie wydrukował, ale wypuściliśmy ulotki. Szkoda, że ani jedna nie zachowała się do dzisiaj, może Pan by wydrukował. Oczywiście jako ciekawostkę, śmieszność z przeszłości, nic więcej.

A sprawa nie jest taka malutka. Naturą życia na ziemi jest ubytek. Ubywa nam czasu, sił, zapału. Ubywa także wiele samej Ziemi. Naturą istnienia poza życiem jest przybytek. Jednym przybywa wtedy wiecznych rozkoszy, innym wiecznych cierpień. Nasza planeta zaś wejdzie w stan przybytku po tzw. końcu świata.

Człowiek, za podszeptem diabła, niecierpliwi się w świadomości ubytku ziemskiego, próbuje, już tu i zaraz, zapełnić zdobywanie dobytku. Za wszelką cenę. Jedno tylko może ludzi od tego powstrzymać, szczególnie tych, którzy mogą zdobyć mniej, czyli większość — pokazanie wyższej wartości w nierobieniu, wykorzystując do tego inną, również silną cechę — lenistwo.

I co? Wyznaczył Pan już zadanie dla siebie i swoich redaktorów? Obawiam się, że nie. Widzę, że dalej zbieracie paskudztwa i diabelstwa, nowych wciągając ludzi, a nawet zacne TPZŁ. Opamiętajcie się! Jeśli nie wy, ludzie pióra, to WY, CZYTELNICY! NIE CZYTAJCIE NICZEGO, CO NA TEJ STRONIE NIE PODPISANE JEST

JAN BALDRIAN, OHP

P.S. Dzisiejszy list zatytułowałem „Szanowny Panie". Może zbyt łaskawie, ale uniosłem się nieco (czy to może dziwić kogokolwiek) z powodu mojego maleńkiego zwycięstwa w walce z diabelstwem.

To tyle, więcej pisać nie wypada.

Sennik — przepowiednie niechybne

FAJANS

Fabrykę widzieć lub być w niej — dobre interesy
Facet — wydatek lub zawód
Fajans — próżne wydatki
Fajerwerki — nadejdzie wiadomość o śmierci znajomego

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Tak się ostatnio składa, że kręgi zazwyczaj zbliżone do przeważnie dobrze poinformowanych stały się kręgami, którym informacja nie jest potrzebna, bowiem więcej od niej wiedzą. W tej nader skomplikowanej licznymi implikacjami sytuacji toczy się właśnie dyskusja plenarna.

DOJLICKI *(który przypadkiem podsłuchał przedmowę):* Właśnie! Liczne implikacje oraz komplikacje doprowadzają do sytuacji niemożliwej do mediacji.

BUŻAŃSKI: Właśnie, ale kto ma mediatorować, a kto komplikować.

DOJLICKI: Wszystko jedno. Ważne, żeby był ruch w interesie i pomieszanie. Musimy podzielić się na strony, zanim nie zrobią tego za nas inni. Jak oni podzielą, to będzie im wygodniej negocjować.

BIEBRZAŃSKI: Proponuję tymczasowy Projekt Skutecznego Podziału Społeczności Diabelskiej, zwany dalej „Podziałówką".

NARWIAŃSKI: Uważam, że poligonowo możemy sprawę ustawić tak: ja z kolegą Dojlickim stanowimy mniejszość większości, a koledzy Bużański i Biebrzański tzw. większość opanowaną przez wrogą mniejszość. Wrogą mniejszość ujawnimy, określimy, napiętnujemy i będziemy izolować od zdrowej większości, która w ten sposób odizolowana, czyli uświadomiona, sama się do nas przyłączy z wdzięcznością.

BIEBRZAŃSKI: Stanowczo protestuję. W zaistniałej sytuacji jak nigdy potrzebna jest nam jedność.

BUŻAŃSKI: Zestrzelmy myśli w jedno ognisko, w jedno ognisko duchy. Dalej bryło z posad świata, nowemy cię pchniemy tory.

DOJLICKI: Koledze, widzę, groza sytuacji pomieszała zmysły, skutkiem czego napił się szeleju w obliczu braku smołówki. Podziałówkę musimy przeforsować na naszym szerokim forum.

BIEBRZANSKI: Tak! Do stu diabłów! Zajmijmy się lepiej własnym podwórkiem. W razie czego trudniej będzie podpaść ogółowi. Kolega Narwiański, jak wiem, wcale dobrze spisuje się na polu działalności urzędniczej w mieście Łomży.

NARWIANSKI: Tak. Mogę to z prawdziwą satysfakcją podkreślić. Napędziłem pełne portki strachu rozlicznym urzędnikom oraz skutecznie zniechęciłem ich do dalszej działalności.

DOJLICKI: Szczegóły, szczegóły!

NARWIANSKI: Proszę uprzejmie. Proszę zajrzeć do Urzędu Wojewódzkiego w porze południowej. Co drugie biurko puste. Urzędnicy urzędują w terenie. Jeśli, dajmy na to, obywatel chce załatwić głupią sprawę, to się dowiaduje, że przywieźli salceson do bufetu w Piątnicy. Rąbankę można kupić na Łomżycy, a pastę do zębów w Jedwabnem. Dzięki temu aż się prosi zlikwidowanie co drugiego biurka w Urzędzie.

BUŻAŃSKI: Po raz pierwszy kolega informuje o tzw. działalności konstruktywnej. Gdzie wasza, kolego, ambicja destrukcyjna?

NARWIAŃSKI: Właśnie — w ramach planu działania defensywy ofensywnej — wprowadzam konstrukcję destrukcyjną działalności administracji państwowej.

Diabły ze zrozumieniem kiwają głowami.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Przepowiednie

ROK 1999

Według największego z wróżbitów, Nostradamusa (1503—1566) pożyjemy, jeszcze najwyżej 18 lat, bowiem w 1999 roku nastąpi definitywna katastrofa kosmiczna ze zmianą ruchu Ziemi i całkowitym zaćmieniem Słońca włącznie. Współcześni astronomowie, nawet ci najdalsi od praktyk magicznych, potwierdzają, że istotnie na 11 sierpnia 1999 roku w całej Europie i Ameryce Północnej szykuje się najgłębsze zaćmienie Słońca w tym stuleciu.

Pesymistycznie nastawieni astrologowie powiadają na to, że nie ma się co bać, bo i tak nie dożyjemy. Już bowiem od tej zimy poczynając, strefę niebieską określi położenie wszystkich dziewięciu planet w jednej linii po tej samej stronie Słońca. Fakt ten, w połączeniu z wyjątkową aktywnością plam słonecznych, uważa się za szczególnie i wystarczająco groźny.

Gdyby jednak komuś mało było i najbliższej zimy, i roku 1999, to eksperci przypominają, że już 5 maja roku 2000 Ziemia, jeśli nie liczyć dalej położonego Plutona, znajdzie się samotnie po jednej stronie Słońca.

I STAŁA SIĘ CZELNOŚĆ

POMYSŁ: MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.: JÓZEF BURNIEWICZ

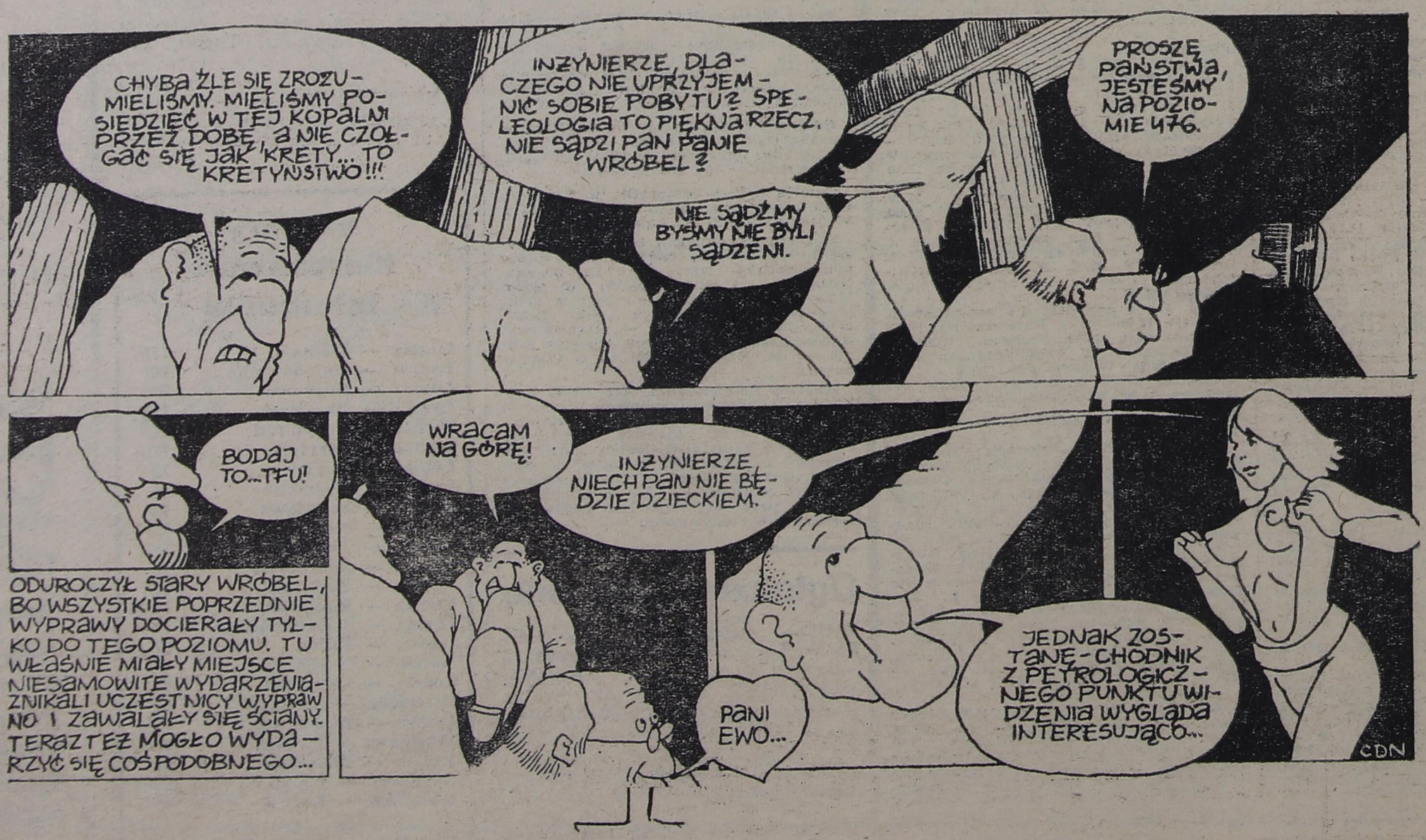

ODUROCZYŁ STARY WRÓBEL, BO WSZYSTKIE POPRZEDNIE WYPRAWY DOCIERAŁY TYLKO DO TEGO POZIOMU. TU WŁAŚNIE MIAŁY MIEJSCE NIESAMOWITE WYDARZENIA- ZNIKALI UCZESTNICY WYPRAW NO I ZAWALAŁY SIĘ ŚCIANY. TERAZ TEŻ MOGŁO WYDARZYĆ SIĘ COŚ PODOBNEGO...